

ZBIÓR POWIEŚCI

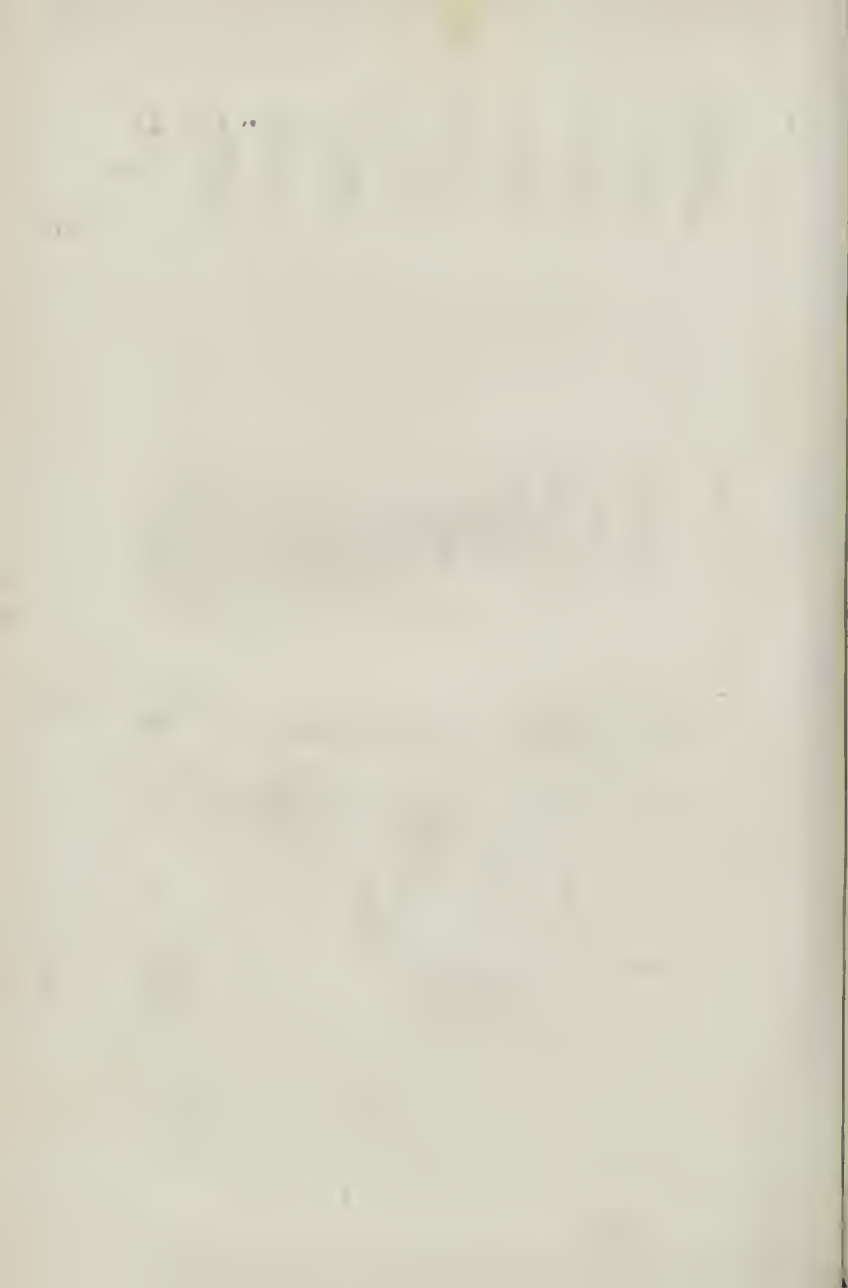
J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty szósty.





# MALEPARTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z XVIII. wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

MALEPARTA — DO CZARTA.

Przysłowie polskie.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.



TOM III.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Gluckeberga.



---

Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.



## ROZDZIAŁ I.

W jednym z rozsypanych po kraju gęsto majątków pana Jana Aleksandra Paprockiego, położonym w małej Polsce (nie możemy określić okolicy, wieś się zwała Grabowym dworem) — rozruch panował wielki.

Stary dwór stojący na wzgórzu w wianku ogromnych grabowych i olszowych drzew, dwór z wyniosłym dachem, długimi a wązkimi okny, wysokimi kominami, dwoma gankami i dwoma niezmiernej obszerności sieniami, cały był ruchem i krzykiem. Czeladź dworska i ludzie przywołani ze wsi, zamiatali, myli okna, lepili ściany, uprzęтали śmiecie z podwórza, zagrabiali ulice. Woda lała się strumieniem, szorowano piaskiem, trocinami, miotłami, a jejmość pani rzędczyni z jegością panem rządzcą, zbrojnym w łaskę, pilnowali sami, zachęcając do pospiechu obietnicą wódki, i pogróżkami batów. Jakto zwykle bywa, gdy się spieszy, wszystko szło nieładem, i jakby na złość powoli.

Odrabiać było potrzeba zrobione i poprawiać co się skończonem zdawało. Tam ktoś wlaźł z butami zbłoconemi na umytą świeżą podłogę, dalej bielący pięcio białymi palcami wycisnął pamiątkę na wymytej i mokrej szybie. Konie co wywoziły śmiecie jakby naumyślnie pozwalały sobie szczególnych niedyskrecyj przed domem.

Martwiło to i gniewało rządzcę i szanowną jego połowicę, gdyż spodziewali się na noc dziedzica, pragnęli mu okazać, że wszędzie było bardzo porządnie, bardzo czysto. Lękali się, aby wielce (wedle powszechnego odgłosu) surowy właściciel nie wziął im za złe nawet mniej starannego utrzymania dworu.

— Ja z łaski wasani mogę miejsce stracić! — za-

wołał nadbiegając z drugiej sieni pan rzadzca. Wasani oszalałaś, żeby swoje motki pokłaść na widoku i...

— Pilnuj jegomość swego nosa — odpowiedziała rezolutnie jejmość, podpierając się w boki — a zobacz wprzód czy konie twoje powyprowadzali, to gorzej niż motki. Ja się o swoje nie boję.

— A masz wasani racje! Mówilem temu gapiowi Pawłowi, żeby konie wyprowadził do karczmy, i jeźliby pytano, nie powiedział czyje.

— Idźże wasan dowiedz się o swoje konie; a włodarzowi powiedz, że mu dasz co, jeśli we wszystkim, o czem go przestrzegano, posłuszny będzie, bo mówią że bardzo pyta i wgląda.

Ledwie kończyli rozmawiać małżonkowie, nadbiegł włodarz pytać, co zrobić z żydem, który skóry z magazyuu chciał zabierać wedle umowy.

— Daj mu w kark i wypędź go za wrota! — odpowiedział lecąc dalej rzadzca.

Gdy się to dzieje we dworze, nie mniejszy ruch na wsi, chłopci zabierają się witać nowego dziedzica i już u wjazdowych wrót do wsi nakryto stolik, postawiono chleb, sól i wódkę. Starzy gospodarze gwarzą poglądając na drogę.

Aredarz ubrany w nocny żupan, z rękami w kieszeniach, niespokojny spaceruje przed karczmą, szwargocąc coś sam do siebie. Bachury wyglądają oknem, Sore patrzy z alkierza.

Pod kościółkiem wiejskim zebrali się dzwonnik, organista i proboszcz, sobie także wyglądając kollatora, o którym tymczasem doszły ich wieści, powtarzają. Przed każdą chatą ktoś stoi, to kobieta z wiadrem w rękach, to chłopiek z siekierą, to dziecko, a wszyscy patrzą na drogę, bo oczekują nowego dziedzica.

Aż zapylilo na gościńcu, zadzwoniło. zaturkotało, i zbliżyła się poszóstna kolasa z hajdnkami, stangretem, konnemi; wszyscy pewni byli że to dziedzic jedzie i zebrali się patrzeć, witać, winszować. Za zbliżeniem się jednak powozu postrzegli, że to sąsiad był tylko, jadący w odwiedziny, pan starosta Poraj z jedy-

naczką swą córką i podżyła już siostrą. Na widok przygotowań niezwyuczajnych zatrzymać kazał kolasę, wychylił wygoloną czuprynę i spytał ludzi:

— Kogo to oczekujecie?

— A dziedzica nowego.

— Albo się go spodziewacie?

— Co moment jaśnie wielmożny panie.

Starosta coś szepnął siostrze do ucha i kazał konie popędzić. Zawiedzeni w oczekiwaniu znowu posiadali i zwrócili oczy na drogę. Spodziewali się oni, po odgłosie wielkiej fortuny pana Paprockiego sądząc, magnata wielkim jadącego dworem, poszóstno, hajduczno i pańsko, i dziwili się, że choć knchni naprzód albo sług swoich nie wysłał. Tymczasem jak nie widać tak nie widać było nikogo. Wysłany od arędarza oklep żydziak doniósł tylko, że w sąsiedniej wsi popasa u żyda jakiś szlachcie jadący krakowską bryką trzema najętymi końmi i rozpytuje się bardzo arędarza o rządzcę tutejszego.

— To pewno ktoś ze dworu pańskiego, powiedział żyd sobie, musi być wysłany na zwiady. Nie darmo to mówili, że przebiegły człowiek! Ale taki naszego rządzcy nie złapie.

Wkrótce po przybyciu żydka nadtoczyła się i owa krakowska bryka, z żydem furmanem co popędzał trzy chude szkapy, a wewnątrz jakimś bladej twarzy jego-nością w białym kitlu płóciennym i takiejże czapce kwadratowej. Postrzegłszy u wrót chłopców, kazał się zatrzymać jadący i wychyliwszy głowę spytał:

— A czego to czekacie?

— Na dziedzica.

— Dajcie pokój, on teraz nie przyjedzie i tego nie lubi. Idźcie lepiej do roboty.

— Z pozwoleniem — spyta starszyna z gromady — a wy?

— A ja, jestem od niego posłany. — Ruszaj żydzie — dodał, i żyd zaćwiczył konie i pobiegł ku karczmie. Przed karczmą na widok żyda co się miał ku czapce, domysliwszy się posłańca pańskiego, kazał podróżny zastanowić się na chwilę.

- Co tam u was słyhać, panie arędarzu?
- A co ma być słyhać, wielmożny panie — ot —  
bieda jak zawsze. Pan zdaleka?
- Zdaleka!
- A dokąd?
- Ja tu jadę do dworu.
- A jasny pan dziedzic?
- Nie będzie teraz.
- Szkoda, jęgo tu czekali, pan rządzca nagotował się, dwór wyporzadzili.
- Jakiż to człowiek wasz rządzca?
- Bardzo dobry człowiek.
- Nota bene — mruknał sobie pod nosem Maleparta, którego już poznać musieliście: — chwałę go wszędzie, musi albo mieć z niemi stosunki i szachry, albo do niczego. Z kogo najwięcej korzystają, tego zawsze najbardziej chwałę. — Potem odezwał się do arędarza:
- Nic nowego u was?
- Nic, tylko co my jasnego dziedzica czekali i nie-doczekali. A może — opamiętywując się dodał — pozwolicie naliwki kieliszek?
- A dobrze — rzekł Maleparta.
- Żyd pobiegł i powrócił zaraz z flaszką, w której się coś czerwonego bełkotało, a na szyjce jej przywiązany sznurkiem telepał się brudny korek.
- Zdrowie wielmożnego pana.
- Do waści panie arędarzu.
- Można jegomości popytać — odezwał się arędarz po nalewce — co to za człowiek nasz pan?
- Hm — rzekł podróżny — ciężki człowiek!
- Ciężki? — spytał żyd ciekawie — czemu on ciężki?
- Nie wierzy nikomu i nie lubi żeby go kradli — a pieniądze...
- A wa! — ozwał się arędarz — lubi słyszę pieniądze bardzo!
- O lubi! Powiedzcież mi no nawzajem, a rządzca tam jaki u was?
- Żyd zrobił minę. — Nu jaki? Dobry człowiek!

zwyczajnie rządzca. — Potem spojrział na podróżnego, jakby pytał czy mu zaufać można i czy wynagrodzi jego zaufanie.

— Bardzo srogi?

— Nie, nie bardzo srogi.

— Pilnuje dobrze?

— Już to on pilnuje,.. ale won i sobie pilnuje — dodał żyd po cichu.

— A dawno on tu?

— O! dawno. Za dawnego dziedzica nastał i dobrze mu się działo, teraz powiadają tak nie będzie.

— I ja to myślę — dorzucił podróżny.

— Pocziwy? — spytał po chwili.

— A jakże — odpowiedział arędarz — jego pewnie nikt nie złapie na fałszu.

— Ale możnaby złapać?

— Hm! człowiek to zawsze człowiek — szepnął żyd. — Czy ja wiem?

— Czyje to konie prowadzą?

Niespodzianie zagadniony arędarz spojrzawszy zawołał:

— Pana rządzcy.

— To on tu trzyma tyle koni?!

— Won — won — jękając się rzekł żyd, — won ich nie tu może trzyma, ja nie wiem.

— Druga nota — w duchu powiedział sobie Maleparta. — Pierwsza że go chwala, druga te konie.

Zbliżył się jakiś żyd do gospodarza i narzekając głośno, machając rękami, coś mu opowiadał.

— Co to, on skarży się czegoś? — spytał mecenas.

— Nie, chowaj Boże, on to co tu skóry kupił u pana rządzcy, ale powiada, że mu wydać nie chcieli i teraz go wypchnęli ze dworu.

— A toż czemu?

— Bo się spodziewają dziedzica.

— Już ja poproszę za nim rządzcy, że mu skóry odda. Ruszaj do dworu — zawołał Maleparta.

Furman zaciął szkapy chude i popędzili groblą wierzbami wysadzoną do dworu. Jak tylko ujrano ko-

goś jadącego w ulicy, pani rządczynia pobiegła oznajmić mężowi.

— Jegomość, jejmość zawołała, ktoś jedzie! A ruszajcież się. Jada! jada!

Po całym domu rozległo się — Jada! i co żyło ruszyło się ze wszystkich kątów. Rządzca stanął w ganku i czekał niespokojny, poprawując to włosów, to pasa, to obciągając poły. Przypatrzwszy się lepiej nadjeżdżającej bryce, splunął z gniewem i ofuknął się na jejmość:

— Co wasani mnie zawsze zwodzisz! To nie on! To ktoś bryką krakowską i najętym furmanem. Darmoś mnie przestraszyła.

— Ale może kto z jego ludzi; wszystko tobie trzeba być w gotowości.

Wedle tej zdrowej rady czekali u drzwi i doczekali się na brykę, która się zatrzymała wedle ganku.

Podróżny wychylił głowę; rządzca postąpił naprzód, lękał się żeby to nie był który z jego przyjaciół przybywający nie w porę w odwiedziny; ucieszył się zobaczywszy obcego.

— Pewnie z dworn jaśn. wielm. dziedzica? — spytał wysiadającego w białym kitlu rządzca.

— Tak, tak.

— A pan?

— Później przybędzie, mnie tu wysłał.

— Służby moje powolne. Prosiemy — odezwał się uradowany rządzca w pół poufale, pół radośnie. — Niechże wiem kogo mam cześć poznać?

— Jestem krewniakiem pana Paprockiego i zwa mnie Janem Paprockim.

— A tytuł?

— Nie mam tytułu.

— Prosimy, prosimy! — odezwali się rządzca i jego żona, otwierając drzwi swojego mieszkania, na drgiej stronie są izby przygotowane dla dziedzica, a czy może zechcecie, choć szczipło z nami się pomieścić.

— Wszędzie mi będzie dobrze — rzekł wchodząc podróżny. Obszerna izba do której weszli świeżo umieciona i piaskiem żółtym posypana, z piecem kaflowym



ubranym w ławki od spodu, w żółte tykwy u góry, z kominem wybielonym, w którym kilka garnków z nabiałem stało, była mimo znajdujących się w niej gratów, wcale porządna. Dwa łóżka wysoko pierzynami wysłane, okryte kołdrami misternie z kawałeczków różnych zszytymi, za firankami cycowemi, stały w dwóch rogach, środkiem pod oknem stół duży z kałamarzem, piórami, linją wiszącą na gwoździu, kwitkami naniżanemi na sznurki i rejestrem. Dalej pod ścianami stały kute kufry ogromne, szafa wysoka za drócianą kratą i skrzynia na podwałach podmoszczonych od wilgoci. Tu i ówdzie między obrazami świętych Pańskich, po przylepianemi w pewnej odległości, wisiało motowidło, kłębki nici, motki, nasiona w workach i t. p. W bokówce, do której drzwi podle pieca się otwierały, widać było nie wielkie okienko wychodzące na ogródek wiśniami zasadzony, i sprzęty różne nagromadzone bez porządku.

Gospodarstwo oboje zaczynali już gościa serdecznie przyjmować, chcąc go sobie ująć, najlepszy mu podano stołek i jejmość pytała troskliwie co będzie jadł, albo pił.

— Mam, mówiła, kawał baby wielkanocnej i miodek nie zły.

— Oni tu widzę po pańsku sobie żyją — rzekł w duchu słysząc to Maleparta.

— Ale wy może jako miejski do wygódek przywykły człowiek, wolelibyście winko. Dzięki Bogu, znajdziemy i jaką flaszkę niezgorszego.

— O to! — trzesąc głową rzekł w sobie Maleparta.

— Idź wasani po wino — odezwał się rządzca dając z kołka klucz Jejmości — i zadysponujcie wieczере.

— Bez indyskrecji — dodał, gdy zostali sami — można li was spytać, kiedy się pana spodziewać mamy?

— Wkrótce, wkrótce — odparł mecenas, ale nie naznaczył czasu.

— Mówia że akuratny i wymagający człowiek?

— O, i bardzo!

— Frasuje się wielce, aby co u mnie nie znalazł z czegoby mógł być nie rad — mówił dalej rządzca.

— A Bóg widzi żeś się na przyjęcie przygotował, jak tylko mogłem.

— To na próżno — rzekł podróżny. — On przyjęcia nie żąda; ale ściśle we wszystko wejrzy i porządek lubi: przygotować było najpierw rachunki i pieniądze.

— I rachunki i pieniądze są — rzekł rządcza.

— No, to dosyć.

Jejmość przyniosła wino.

— Winszuję wam — odezwał się kosztując go mecenas — że tu sobie tak wygodnie żyjecie. Musicie brać dobre honorarja, kiedy was na takie rzeczy staje.

— Zachcieliście! — westchnąwszy odparł rządcza pijąc zdrowie nowo przybyłego. — To to ostatki lepszego bytu. Teraz nowy dziedzic, okroił na wstępie pensją, zaprzeczył trzymać koni, karmić wieprzów! Musieliśmy się zostać na miejscu, bo o drugie trudno, a człek dziedzictwa nie ma: A! a! — I westchnął p. rządcza.

Westchnął za nim nowo przybyły.

— Mogę z wami mówić otwarcie — ozwał się po chwilce mecenas.

— Na Boga najmocniej o to proszę.

— Posłuchajcież. A jak wam imię?

— Protazy.

— Posłuchajcież panie Protazy. — Ja mam obietnicę dziedzica, że mi ten majątek puści dzierżawą.

— I będziecie tu sami mieszkać? — rzekł chmurząc się rządcza.

— O! nie! wcale nie. Ja zawsze siedzę w mieście! Utrzymam was na miejscu.

— Bóg zapłać.

— Powiedziecież mi szczerze, otwarcie, co ten majątek zrobić może, co dać za niego? Już ci taki więcej pewno, niż na regestrach pokazujecie?

Rządcza spojrzał w oczy przybyłemu.

— Po szczerości, panie Protazy! Jestem ubogi człowiek, muszę się pilnować, i jeżeli nie zarobię sam będę tu mieszkał, aby mieć przynajmniej życie darmo. A gdybym zarobił, tobym się chętnie z wasanem po-



dzielił i podwyższył mu jurgield.

Namyślał się jeszcze rządzca, poskrobał w głowę i na jejmość spojrział, jakby rady od niej błagał.

— I to pewno, wyjąkał, że pan spodziewasz się ten klucz mieć dzierzawą od jaśn. wielm. dziedzica?

— To najpewniej.

Rządzca zwlekał wytłómacznie się i wciąż spoglądał na żonę; żona dawała mu znaki niecierpliwe, aby się nie wygadał. — Nie wiedział co począć, bo go już język świerzbiał a bał się jejmości, nareszcie rzekł:

— O tem potem, a teraz może co przekąsicie? — Maleparta nie dał się prosić i zaczął zajądać skwapliwie babę, choć już na to nazwisko dobrze zasłużyła, będąc dobrze starą. A ukradkiem spozierał na rządzcę, który niemogąc wytrzymać jął się także za kieliszek i wypił z gościem jeden i drugi. Niezwykły jednak do tego trunku, a przytem odurzony już ciągłym kłopotem z powodu spodziewanego przyjazdu dziedzica, łatwo się nim podchmielił i stracił pamięć niebezpieczeństwa w którym zostawał, choć mu jo żona ciąglemi mruganiami przypominała.

— Ot! wiecie co — odezwał się rozweselony i czując w sobie ochotę wynurzenia się jak to zwykle bywa gdy się podpije — ot! wiecie co, ja wam wszystko powiem. To dobry majątek.

— Co to wy pleciecie? — przerwała żona — straciliście głowę od kieliszka wina.

— A jejmość zawsze w strachu i niedowiarstwie — przerwał rządzca. — Dajcie pokój! Ja jegomości uważam za przyjaciela i powiem mu całą prawdę.

— Najlepiej — rzekł nalewając sobie Maleparta kieliszek — powiedzcie całą prawdę, bo się jej zawsze dowiem i tak.

— Otóż to, — dodał rządzca.

Żona westchnęła i opuściła ręce, ona przeczuwała ze wzroku mecenasa grożące im nieszczęście.

— Powiedzcie-no mi tę prawdę: dobry majątek?

— Wyśmienity! wszystko jest.

— A siano, co go zawsze kupowano?

— Hm! — uśmiechając się dodał rządzca — znajdzie się i siano.

— Dla czegoż go dawniej nie było?

— Ot tak po szczerości powiem.

— Powiedz waćpan po szczerości.

— Moje konie i jejmościne cieleta go zjadali.

— A stawy nigdy się podobno nie spuszczały?

— Regularnie.

— I nie było ryby?

— Słuchaj waćpan! — rzekł śmiejąc się podochocony — to nasz dochód; dla pana glupstwo, a dla nas stanowi.

— I wieleż naprzykład?

— Parę tysięcy.

Małeparta się skrzywił.

— Jednem słowem — dodał rządzca, — dawaj waćpan jakich pięć tysięcy wyżej regestrów, a jeszcze zostanie się i nam czem podzielić. Tylko słuchaj, zaufność ufność i dotrzymaj słowa.

— Dotrzymam danego sobie słowa — odrzekł ponuro mecenas.

— A teraz jeszcze zdrowieczko pańskie! — dodał rządzca podnosząc kieliszek.

— Nie, dosyć już tego — zawołał mecenas — chodźmy do regestrów.

— Co! do regestrów? Bierz djable regista! To na potem jak on przyjedzie.

— Daj mi je waćpan zaraz.

— Po cóż?

— Żebym zobaczył co tam popisałeś.

— Alboż myślisz że się z nich co dowiesz? — spytał ze śmiechem pan rządzca. — Regestra są dla dzieciów, a prawdę sam Pan Bóg wie i ja. Wierz waćpan na moje słowo. Czy to jegomość chcesz się omlotu z nich dowiedzieć czy ekspensy? Porzuć a ufaj mnie, co ci szczerą prawdę mówię. Dawaj choćby i wyżej, a nie zawiedziesz się.

— Pewnie?

— Niechybnie! my tu sobie po szlachecku zagospo-

darujemy. Jeszcze kieliszek.

— Dosyć już tego wszystkiego razem — zmienionym głosem odezwał się Maleparta, — dowiedziałem się co wiedzieć chciałem. Rządca się jeszcze nie domyślił nic i nalegał na podróżnego aby pił. Chmurne czoło Maleparty, od dawna przerażające jejmość, co nań ukradkiem spozierała, opamiętało go nareszcie.

— Prowadź mnie do przygotowanej izby — odezwał się mecenas.

— Ale, ale to izby dla dziedzica.

— To też mówię ci, żebyś mnie do nich prowadził.

— Ale jeśli nadjedzie?

— Już nie nadjedzie.

— Waćpan sam mówiłeś.

— Mówilem i powtarzam że nie nadjedzie, bo nadjechał!!

Rządca osłupiał, potarł czoło, otrzeźwił się — żona jego zbladła jak ściana.

— Ja jestem dziedzic — dodał Maleparta — a waćpan wybieraj się ztąd co najrychlej. Dosyć już tu przyzbierałeś. Rzeczy zaś jakie masz, konie i chudobę zostawisz mi na gruncie do obrachunku.

To powiedziawszy i niezważając na lament w izbie wyszedł w ganek. Ludzie stali pod nim.

— Zawolać mi gumieunego i gromadę.

Rozbiegli się posłuszni.

W godzinę potem już odebrał rządy panu Protazemu i klucze miał u siebie. Na przeciwko płacz był, narzekania, lamenta do dnia białego; a w izbie mecenasa liczyły się pieniądze, sprawdzały rejestra, badali ludzie. Tysiące nadużyć się wykryło, bo jak skoro przestano się lękać rządzczy, mówiono nań co ślina do gęby przyniosła. — Ratując się obciętemi poly, pan Protazy musiał wypłacić mecenasowi około trzech tysięcy złotych, i tym ledwie sposobem z resztą majątności z jego szpon się wydarł.

Po wyjeździe rządzczy nowego nie ustanowił mecenasa, postanowiwszy sam zamieszkać na wsi. Miasto już mu się było sprzykrzyło, może dla tego, że nadto go

tam znano, zbyt dobrze przeszłość jego wiedziano, i mimo szacunku dla jego bogactw, pogardzano osobą. Maleparcie zaś zachciało się znaczenia, tytułów, koligacji i państwa, którego nie miał jeszcze, choć pański już posiadał majątek. Powiedział więc sobie: Jedźmy na wieś gdzie mnie nie znają, zostanę deputatem na sejmiku, posłem na sejm, lub czemkolwiek przecie, będę żył po pańsku i zapomną czem byłem dawniej.

---

## ROZDZIAŁ II.

Najbliższem sąsiedztwem Maleparty, był dom jaśnie wielmożnego starosty Poraja, któregośmy widzieli przejeżdżającego przez wieś, chwilą przed przybyciem dziedzica. Dalszy ciąg tej powieści wymaga, abyśmy wam mieszkańców Porajowa poznać dali. A naprzód spojrźmy na dwór i posadę jego.

U ujścia maleńkiej rzeczki, do jednej ze splawnych rzek korony, leżało miasteczko złożone z lichych chałup żydowskich i czterech karczem mających otaczać rynek. W pośrodku pięć kramików znaczyło sklepy, sprzedawano w nich czosnek, cebulę, powrozy, garnki i łojowe świeczki. Niedaleko wznosił się ratusz ozdobiony wieżyczką z chorągiewką herbową, którego okna w połowie zabite były deskami. Po za nim i po za kramami, ciągnęły się błotniste uliczki miasteczka, obstawione chałupkami walącemi się i nie lepszymi od nich stodołkami.

Gdziekolwiek sadek z wiśniowemi drzewy, ze starą gruszą, prababką wszystkich grusz okolicznych, rozzieleniał smutno czarny ten widok. Po za miastem, w widłach dwóch rzek, wśród zielonego wału okrążającego do koła sam gródek dawny, wznosiły się mury zamku senjoralnego, świeżo odnowione i dosztukowane nowemi budowlami. Wieżyczka nad bramą wznosząca się z zegarem i balkonem, ukazywała jedyny na zamek wjazd, po zwodzonym dawniej a teraz zwodzącym tylko moście. W brukowanym dziedzińcu stał sam tak zwany dawnym zwyczajem zamek, budowa w połowie stara, w pół nowa. Dwie jego narożne baszty i środek widocznie były ze XVI. wieku, jeżeli nie dawniejsze, długie oficyny dobudowano później. Po za tem wszystkiem

ogród ze szpalerami, sadzawkami, bukszpanem wysadzaniem ulicami, obcinaniem świerkami, ciągnął się aż nad rzekę. Na prawo i lewo były stajnie, wozownie i inne zabudowania folwarczne.

i Nad jedną z baszt zatknięty krzyżyk blaszany, dowodził że tam była zamkowa kaplica. U bramy, u drzwi głównych, na chorągiewkach, a uawet w nliczkach ogrodu wycinane, wysadzone i malowane herby, dowodziły że dziedzic Porajowa należał do familji Porajów, i lubił się tem szczycić.

Jak w miasteczku tak i tu jednako widać było, że familja zacna bardzo podupadła na fortunie, choć nie dumy dawnej nie straciła. Obok herbów widać było niedostatek, obwijający się w poważne pozory państwa, jak hiszpan w swój płaszcz podarty. Ludzie co się przemysłali, obok dziurawych sukni, mieli na twarzy i w ruchach zuchwalstwo sług magnatów; zamek sam sobą okazywał to śmieszne połączenie hołoty i pańskości. Dość brudny, opuszczony jak miasteczko same, pysznił się jednak basztami swemi, herbami, powozami, koźmi i liczną bardzo dwornią. Nieład był wszędzie, wrzawa, krzyki, nieporządek i niedostatek, najmniej wprawne oko uderzały.

W zamku mieszkał jaśnie wielmożny pan starosta Poraj wdowiec, z dwudziestą kilka letnią, bardzo już dojrzałą córką i jeszcze dojrzalszą siostrą. Starosta mógł mieć tak około sześćdziesięciu, ale trzymał się tego i ruchawy był jak młodzieniec naszego wieku. Jeździł konno, polował, pił, w potrzebie zatarłszy wygolonej czupryny koperczaki stroił do wdówek bogatych, sejmikował pracowicie, forytując swojej partji kandydatów kielichami i szablą, słowem żył życiem czynnem i nie cierpiał spoczynku. Połowę roku pędził w Warszawie, część na wsi i w odwiedzinach u magnatów, z którymi go łączyły stosunki i koligacje. Starosta należał duszą i sercem do panów, do arystokracji; dumny był jak grand hiszpański, lubił wystawę, zbytek, ucztowanie, paradę jak bogacz, choć wcale nim nie był. Odziedziczywszy po ojcu jeden Porajów i wiele dumy, puściwszy się w życie pańskie,

stracił fortunę, obciążył ją długami i został na starość, gdyby nie szczególna na to obojętność, nieszczęśliwym, bo dłużny wszystkim, nie mogąc oddać nikomu. Ale starostę to wcale nie obchodziło; gdy się kredytor dopominał, naprzód go poił, karmił, drwił z niego po cichu, a wielce na pozór honorował, aby szlachcica uchodzić: gdy to nie pomogło, obiecywał pomoc swoją i protekcją w zamian za kapitał. Nareszcie jeżeli i tem nie zwyciężył dozwalał procesować, pewien będąc, że mu proces nie zaszkodzi, bo któż jeżeli nie starosta, trząsł sejmikami, wybierał urzędników i władał sądami? Tak obciążony długami, został przy Porajowie i robił nowe długie, pił, jadł, spał, sejmikował, jeździł na zimę do Warszawy i udawał wysmienicie pana; a ktoby go ujrzał z podniesioną głową, zarzuconemi w tył wyłotami kontusza, pokreconym do góry szpakowatym wasem, ręką jedną na karabeli, drugą za pasem bogatym, wziąłby go niechybnie za jednego z najmajetniejszych w Polsce obywateli, co beczkami złoto w piwnicy chował.

Panna kasztelanka Katarzyna, siostra starosty, była drugą po nim w domu osobą. W wielkiej części przejęła ona charakter brata, jego dumę, próżność, zamiłowanie w wystawie i pańskości. Niegdyś piękna, teraz już resztki zwiędłych wdzięków, z wielką jeszcze pretensją do nich pozostały jej tylko. Wysokiego wzrostu, kształtnej postaci, rysów twarzy regularnych, czarnego włosa, który już z głowy uciekać zaczynał, czarnych niegdyś oczów, dziś sińcami otoczonych, panna Katarzyna mogła jeszcze uchodzić za nieszpętną, choć do brych lat czterdzieści przeżyła na świecie. Całe swoje życie wybierała się za męża bogatego, miała konkurentów mnóstwo, jedni sami pouciekali, drugich ona odprawiała, za niegodnych swej ręki uważając, choć zbliżała się do pięćdziesięciu, marzyła jeszcze o świetnem za męża pójściu. Jak wszystkie prawie stare panny, wierząc w sny, przepowiednie, przeczucia, co roku aż do wstępnej środy była pewną, że pójdzie za męża w zapusty, po wielkim poście, znowu zaczynała się spo-



dziewać, aż do następującego. Ktokolwiek nadjeżdżał, zdawał się dla niej konkurentem, kto kilka słów przemówił, pewnie zakochanym, kto przez parę miesięcy u starosty bywał, niechybnie starającym się. Tyle razy zawiedziona, bo zawodów policzyć niepodobna, miała, wielką słuszność narzekając na mężczyzn, ich niewiarę, niestałość i interesowność. Cytowała z upodobaniem wszystkie przeciw nim argumenta, jakie się znajdują w sławnej niegdy książeczce, pod tytułem: *Odpowiedź damy na złote jarzmo małżeńskie*. Prędzej później jednak zawsze wyglądała przyjęcia tego messjasza, co ją do małżeńskiego rajn miał wprowadzić, wyobrażając go sobie naprzód młodym, powtórę przystojnym, po trzecio z pięknem imieniem, nareszcie bogatym niezmiernie. Do brata miała urazę, domysłając się i niepłomie, że on był przyczyną, iż dotąd za mąż nie wyszła i utrzymywał ją w domu, aby nie być zmuszoną wypłacić posagu. Z prawa natury opiekunka młodej Zuzi starościanki, mściła się trochę na córce za przewinienie ojcowskie, przepowiadając jej, że nieprędko jeszcze za mąż pójść może, i z porządku rzeczy wypada, aby ona wprzód tę przepaść wypróbowała, nim Zuzia w nią się rzuci.

Panna Katarzyna pomimo swych odlewanych czterdziestu latek, nie spuściła dotąd wcale z warunków arcycieżkich dla swego przyszłego. Koniecznie chciała go wielkim panem i przystojnym chłopcem, może dla tego, że tak długo czekała, a za oczekiwanie zawsze się coś płaci. Tymczasem konkurenci dawniej dla pięknych oczów Kasi zjawiający się gesto, odstręcał to wieścią o niewypłatności starosty, to dumą panny, powoli, powoli poznikali i siostra dziedzica Porajowa zaczynała się o swoje za mąż pójście niespokoić od niejakiego czasu, wierząc jednakże, iż ją prędzej, później, minąć nie może, bo cyganka przepowiedziała jej świetne a niespodziane małżeństwo, a cygańskie wróżby nigdy nie zawodzą.

Starościanka, oprócz różnicy lat i wdzięków, charakterem niewiele się różniła od ciotki i ojca. Dwa-



dziesto kilka letnia i dojrzała panna, mniejszego wzrostu od Katarzyny, podobnych rysów twarzy, świeża, czarno-oka, rumiana i jak w ówczas powiadano, tęga czarno-brewka, była dumna jak ojciec, rośła wielką przyszłość jak ciocia. Miała do tego większe od niej prawo, bo na oko dziedziczka Porajowa, pięknego imienia, córka człowieka wziętego w swojej okolicy, skolligowanego z magnatami, mającego stosunki w Warszawie, była nie złą partją. skutkiem pobytu w Warszawie i edukacji na wielką stopę — bo francuzką madame, jeszcze naówczas w Polsce rzadką, miała za pierwszą nauczycielkę — Zuzia. różniła się od panny Katarzyny wielką pogardą ojczystych obyczajów i języka, zamiłowaniem wszystkiego co francuzkie, co nowe, co modne i błyszczące.

Lubiła wzdychać przy księżycu, przechadzać się w ciemnych szpalerach ogrodu i czytać po raz setny kilka książek niedorzecznych, zostawionych jej w spuściznie po madame Robert.

Taki był skład domu starosty i trzy główne w nim postacie, do których jeszcze jedna dodać musimy. Tą był pieczeniarsz, rezydent na dworze starosty, pan Atanazy Bryndza, niegdy wojskowy i rotmistrzem zwany, teraz na starsze lata sejmikowicz i totumfacki. Pan Atanazy, albo jak go pospoliciej zwano pan rotmistrz, ulubieniec starosty, którego był we wszystkim prawą ręką, choć nie miał w domu żadnej funkcji wyznaczonej, do wszystkiego się mieszał i należał.

Najgłówniejszym obowiązkiem jego było o wszystkim co się działo w domu, koło domu, w sąsiedztwie, wiedzieć naprzód i nwiadamiać, plotki znosić i one tłómaczyć. Dalej do polowania i łowienia ryb przewoźniczyć, na sejmik jechać i na sejmiku z szabelką za starostą stawać, dworskich mieć na oku, kredytorów jak muchy od nosa pańskiego natrętne odpędzać i szperać, gdzieby jeszcze znalazł się jaki kapitalik i łatwowierny szlachcic, do pożyczania gotowy. Za te usługi otrzymywał pan Bryndza izbę w narożnej baszcie, skórki lisów zabitych w ciągu roku, czasem po-

darek jaki i miejsce u stołu, na szarym końcu. Słudzy i dwornia bali go się i nienawidzili z całego serca i duszy; sąsiedzi grzeczni dlań niezmiernie, lękali niemniej od nich: starosta lubił go dosyć, panna Katarzyna traktowała z góry, a Zuzia z pewną wzgardą. Rotmistrz na pierwsze spojrzenie wyglądał tem czem był. Wysoki, chudy, siwy, z czarnym wąsem co by się dał za ucho bez trudności zawinać, z twarzą piwonjową pociętą od szabel, wyprostowany, ubrany zawsze czysto i opięto, miał na ustach ten wieczny uśmiech pasażerów, co za kawałek chleba muszą płacić humorem. Za nadrą trzymał zawsze srebrny, gruby, olbrzymich rozmiarów zegarek, którego się zwał bratem słońca, miał reputacją nadzwyczajnej regularności i co chwila wydobywał dla porady. Oprócz regulowania zegarków, które wchodziło naturalnie w atrybucje rotmistrza, miał on jeszcze i inne obowiązki — leczył konie, psy układał, nosił myśliwe ptaki i proponował rozmaite, sekretne nawet dla ludzi leki i przysmaki. U niego na stoliku, zamknięta na klamry, leżała książka pełna tajemnic i sekretów, z której on wytrzeszał swoje dziwne recepty, poczynawszy od sposobu wygubienia płuskiw, aż do odpędzenia febry tajemniczymi wyrazami, wypisanymi na skórce od chleba.

Rotmistrz nie zawsze rezydował na zamku, już to dla tego że ruchu potrzebował, i bez niego żyć nie mógł; już to, że jeździć musiał, aby się o czemś nowem dowiedzieć. Pan Bryndza często bardzo puszczał się w odwiedzinę w sąsiedztwo, bez braku kominów i ludzi, gdzie się tylko kurzyło i mieszkali. Jak na zamku starosta był pokorowym i cichym, wyrwawszy się w pole, inną wcale postać brał na siebie, pożyczając jak księżyc jasności od magnata, przy którego boku zostawał. Protekcyjnalny ton przybierał względem szlachty, którą odwiedzać, objadać i opijać raczył. Łgał o bogactwach i wielmożności starosty na potęgę, o stosunkach jego w Warszawie, i wpływach na dworze królewskim. Łada czem kontentując się na zamku, w gościnie był wymagającym i przebiegał, udając że

miał gębę popsutą pańskim stołem i wygodami zamkowemi! Tymczasem Bóg wie jak tam żyli i jedli w Porajowie kiedy nikogo obcego nie było! Zamek co huczał wrzawą, z którego kominów słupy dymu się wzbijały, z którego piwnic wytaczano beczki całe na jednodniową konsumpcją, gdy nikogo z gości i okazji, jak to nazywano, nie było, obchodził się lada czem. Często wędzonem mięsem i kwaśnem kontentowano się piwem, często ludzie chleba nie mieli, psy faworyty osypki, a konie obroku. Za to, gdy nadjechał gość i trzeba było wystąpić, bodajby ostatni łańcuszek poszedł na zastaw do żydków, występowano pańsko, łało się w bród wino, pieczono barany i cielęta całe, czeladź częstowano w dziedzińcu, a starosta zdejmował gościom koła z wozów, aby dłużej podejmować ich miał przyjemność. Skutkiem tej polityki, obcy najmniej wiedzieli, jaki był stan interesów starosty i słysząc o nim nie dawali nawet wiary, domowi tylko cierpieli, lecz dla honoru domu, nie śmieli głośno narzekać. Możeby tam jakoś przy większej daleko na ówczas łatwości przyjmowania bez wielkich kosztów, ciągnęło się to jakotako, gdyby ostatniego zawsze grosza, nie wyszał pobyt w Warszawie, gdzie się potrzeba było pokazać, karetą jeździć, obiady sute dawać, stroić dwom paniom, sługi coraz na nowo wygałować i dwór dla ostentacji liczny utrzymywać. Co się w Porajowie nciulało, to Warszawa w kilka miesięcy zjadła i jeszcze się po żydkach zapożyczało. Co roku trudniejszym się stawał pobyt w Warszawie, a starosta od niego odstąpić nie chciał, panna Katarzyna całą w nim za mąż pójścia świetnego pokładała nadzieję, panna Zuzanna tam tylko popisać się mogła z francuszczyzną i romansowością swoją.

W takim stanie nieszczęśliwym były interesa starosty i rotmistrz od dwóch tygodni nie zsiadał z konia jeżdżąc po szlachcie dla napytania pieniędzy, a jeżdżąc napróżno, gdy Maleparta przybył do swojego majątku. Starosta już o tem wiedział i natychmiast dał ordynans p. Bryndzy rozpytać się szczegółowie o nowoprzybyłym i spenetrować go.

Rotmistrz puścił się na zwiady, aby dostać języka i powrócił nazajutrz rano do zamku. Jak tylko starosta ujrzał ze swego okna bulanego konia przed stajnią, posłał wołać do siebie p. Atanazego.

— No, a co tam? — spytał wchodzącego.

— Niceśmy prawie nie ułowili.

— Do licha! Jakto, wy mosanie rotmistrzu, powracacie tak z próżnemi rękoma?

— A zkąd czego się dowiedzieć, jaśnie wielmożny starosto? Tego djablego syna nikt tu nie zna, nikt o nim nic nie wie. Wiadomo tylko, że przybywa z Lublina, gdzie mecenasował czas długi i ogromną jak powiadają zebrał fortunę. Dobra jego po całej koronie rozsypała, w Litwie i Inflanciech, kapitały ogromne. Nabył ten majątek za nic prawie, pospychawszy dłużników i dawszy niewiele za tytuł dziedzictwa, bez czegoby może nieborak przeszły dziedzic, upłatany, musiał oddać majątność *sub haslam potioritatis*.

— Ale jaki to człowiek?

— Licho go wio! — odparł rotmistrz, — nikt go nie zna. Przybył do majątku w krakowskiej bryce najętymi koniami, w kitlu białym płóciennym i na pierwszym wstępie, przeszłego rządzcę, wydarłszy od niego kilka tysięcy złotych przy obrachunkach, odpędził precz. Sam podobno tu chce mieszkać. Zresztą, nikt nic nie wie o nim, zdaje się, że domator i dusigrosz, ciężko z niego coś będzie wydłubać.

— Waści wszystko ciężko, a ciężko — odezwał się starosta — ale to mosanie, bez prace nie będą kołaczę, trzeba nam koło niego pochodzić. Jakby go tu zwabić?

— Albo ja wiem! To naprzód by pomyśleć należało, jak do niego przystąpić.

— Ot wiecie co, rotmistrzu, jedź do niego.

— *Quo titulo?*

— Jakżeś ograniczony kochanku! Niby nie wiesz, że nadjechał, a odwiedzić chciałeś rządzcę, byłby ostatni grubianin, gdyby cię odprawił, nie poprosiwszy usiąść, nie pogadawszy.

— Prawda jasnie wielmożny starosto, dobra myśl! Zawsze jasnie wielmożny pan masz dziwnie doskonale pomysły.

— Ot widzisz — rzekł zacierając ręce starosta — jedźże zaraz i patrzaj dobrze abyś mi o wszystkim doniósł. Gdyby ci się udało tu go poprosić?

— Zobaczmy: już to, bąknął rotmistrz, dam sobie radę jak należy. Ale niech się choć bulany napasie i spocznie, bom go porządnie zhasał; a i ja...

— Idźcie na śniadanie.

Rotmistrz wyszedł zakręcając wąsa, jak zwykł czytać, gdy miał na głowie ważne poleconia, co mu powagi dodawało i figurą go w własnych oczach, znaczącą, czyniło. Starosta ze swojej strony, zamyślił się głęboko, czyniąc dziwne na nieznanego sąsiada projektu i polykając ślinkę na jego bogactwa.

— Będziemy go mieli, bądź co bądź! Nie może się oprzeć inwitacji, grzecznościom a wreszcie honorowi znajomości ze mną. Musi to być szlachciura jakiś niskiej ekstrakcji i lichego nrodzenia, co się lęka nosa pokazać na świat. Zaimponujemy mu dworem, imieniem, splendorem naszym, oślepię go, i będziemy mieli. Musi pożyczyć pieniędzy, jeżeli nie od niego, od nikogo nie dostanę, a potrzeba mi koniecznie na Warszawę. Dałem słowo wojewodzie, kasztelanowi, księcin, że się zbierzemy razem. sam król Jego Mość szukał by mnie oczyma niespokojnie, gdybym się nie znalazł na termin. Straciłbym obiecane krzesło, które tego roku dojść mi ma. bo dawny jego posiadacz, blizki już krzesła w królestwie niebieskiem. Mogliby mi nie ubiedz, koniecznie muszę być w Warszawie. a pieniędzy sposobu nie ma dostać. Cała nadzieja na tym nieznanym sąsiedzie, ująć go potrzeba koniecznie i zabiedz wcześniej, aby się nie dowiedział o moich długach. Ten rotmistrz, — dodał w duchu starosta — dotąd się nie wybrał, i on i jego bulawy nadto już długo jedzą. Klasnął w dłonie i posłał starosta przypomnieć panu rządzcy, że czas w drogę. W kwandrans potem mostem zwodzonym wyjeżdżał rotmistrz na wyprawę, przeżegnawszy się krzyżem świętym.

### ROZDZIAŁ III.

Przed gankiem Grabowego dworn (tak zwał się jak wiemy główny folwark i mieszkauie tymczasowe Maleparty) zatętniało, zadzwoniło, zakaszlało i zakrzyczało.

— Hej! słyszysz — wołał na całe gardło rotmistrz, tak aby głos jego doszedł zamkniętego w izbie swojej dziedzica — a gdzie wasz rządca?

— Nie ma rządcy — odpowiedział gniewny.

— A gdzież? pojechał dokąd?

— Pojechał i nie wróci.

— Cóż? na tamten świat?

— Nie, ale go wypędził dziedzic.

— Aboż jest wasz dziedzic?

— A jest.

— Dawno przyjechał?

— O już koło dwóch tygodni!

— Proszę! i nikt o tem nie wiedział! — Rotmistrz siedział na koniu i krzychał na całe gardło, chcąc krzykiem tym wywabić na ganek Malepartę. Jakoż zaniepokojony wyszedł nareszcie.

Na widok dziwnej postaci i surowego oblicza mecenasa, którego fizys wcale ujmującą nie była i obiecywała to, co dotrzymywał charakter, uczuł się rotmistrz czegoś nierad, uiekontent i niespokojny. Zdjął czapkę, pozdrowił i spytał:

— Z kimże mam honor mówić?

— Z tutejszym dziedzicem.

— Bardzo mi przyjemnie. Do usług waszmości, jestem rotmistrz Atanazy Bryndza, kuzyn i dwornik jaśnie wielmożnego starosty Poraja, sąsiada tutejszego, z Porajowa, przybyłem do Imci pana rządcy, ale widzę go nie ma. Korzystam ze zręczności, aby (dodał zsiadając już z bu-



łanka, którego oddał w ręce człowiekowi jaki mu się nawinął), aby zrobić miłą znajomość z wielmożnym panem dobrodziejem.

— Bardzo mi przyjemnie — mruknął Maleparta. — Pierwsza to znajomość w sąsiedztwie.

— Co wielmożnemu panu dobrod. sama submittować się przybywa. Cha! cha! dodał rotmistrz. Pozwolicie mi wytchnąć chwilkę, bom i ja i konisko strzepali się dobrze w upał.

— Proszę, bardzo proszę, chociaż — rzekł Maleparta — i ja tu gość jeszcze, a przyjąć nie mam czem.

— Dobrą wolą, dobrem sercem, — odparł żwawo wchodząc rotmistrz — nam na tem dosyć. — I wyciągnął rękę. — Pozwólcie mi usiąść.

— I owszem, proszę bardzo.

— Ale wielmożny pan dobrodziej — dodał pan Atanazy oglądając się — jesteście tu w istocie nie bardzo wygodnie. Dziwi mnie, żeście sobie to miejsce z innych majątków na mieszkauie obrali, nie mając domu przyzwoitego?

— Nie wiem, może też tu urządziwszy się długo mieszkać nie będę — odpowiedział Maleparta.

— O bardzo byśmy żalowali miłego sąsiada co nam przybywa i zwiększa grono naszej szlachty! pan starosta wczoraj przy wieczerzy, dowiedziawszy się o przybyciu jego w sąsiedztwo, wynurzył życzenie poznania i zatrzymania go w tych stronach. Mało mamy ludzi! Sejmiki nasze puste!

Maleparcie jak błyskawica przeleciała po głowie.

— Ależ pewnie nie brak kandydatów? ozwał się.

— Jest wiele, a nie ma takich jakich życzymy — odparł rotmistrz: — pożądaný przybyły, bo w nim podpórę dla Rzptej nową znaleźć sobie obiecujemy. W panu dobr. słyszałeś co o starości naszym, o pocziwym i nieoszacowanym?

— Słyszałem trochę.

— Pan z panów, rzekł rotmistrz, familja jego z dawien dawna ma tu wziętość w całej ziemi naszej i przewagę na sejmikach, skolligowany z przedniejszymi

domami Polski i Litwy, znajomy dobrze królowi IMci. co go swemi względy zaszczyca, dobrze położony u swych braci magnatów. Warto, abyś go wielmożny pan dobr. poznał i był w jego domu. Poniekąd, — rzekł z cicha rotmistrz płacząc się, bo wprzód udawał że nie wie jako przybył Maleparta, potem wygadał się, iż to wprzód już wiedział — poniekąd spodziewa się tego nasz jaśnie wielmożny starosta, że będziecie w jego domu.

— Nie omieszkam — rzekł Maleparta, — ale...

— Żadnego ale—ja wielmożnego pana dobr. sam zawiozę, i jako dobrze tam położony przedstawię.

— Wielce obowiązany.

— Wielm. pan dobr. widzę — dodał pan Atanazy — lubisz sobie samotność, cichy kątek i spokój. Ale *volens nolens* bedziesz musiał porzucić ustrofi i wyjść na większe teatrum. Mając takie majątkości.

— Sam o tem myślę — rzekł Maleparta, co się pochwalić pragnął i czuł w sobie poruszenia dumy — sam myślę, że nie powiniennem w kacie siedzieć, gdy mogę co mam użyć na dobro Rzptej i być jej użytecznym.

— *Valde bene!* Otóż to! nieinaczej! słiczne sentymenta! prosiemy waszmość pana na nasz sejmik i obierzemy deputatem.

— To musi być awanturnik jakiś, kiedy się tak obcesowo do mnie bierze — pomyślał mecenas — miejmy się na ostrożności.

— To tylko mnie zrażałoby od wszelkiej kandydatury, dodał głośno, że wiele chodzenia, starania i ukłonów potrzeba. Bo co do przyjęcia i kosztów, to fraszki! Jest dzięki Bogu z czego.

— Słyszeliśmy że jest z czego! — rzekł rotmistrz — a co do ukłonów to się wielmożny pan dobr. poznaawszy i porozumiawszy ze starostą, bez nich obejdiesz. Nasze sejmiki w jego ręku i kogo ze swego ramienia przedstawi, pewien wyboru! W jego domu poznasz asan dobr. co jest szlachty najzuważniejszej, bo nasz zamek, niechwaląc się, jest jak *receptaculum* najznakomitszego towarzystwa, i wszyscy czołem biją naszemu staroście.



U niego się zbierają, a dziedzic Porajowa żyje otwartym domem i sercem. To prawdziwe dla mnie szczęście — dodał rotmistrz — że wielmożnego pana dobrodziejstwa godnego naszego sąsiada, będę mógł pierwszy przedstawić głowie naszej okolicy. Trzeba zaś wiedzieć, jakom to już nadmieniał o tem, że bez starosty nic się tu u nas nie dzieje i on tu wszechwładny. Jeżeli więc wielmożny pan dobr. masz myśl zamieszkać z nami i starać się o jaką na sejmikach kandydaturę, to bez starosty się nie obejdziesz, powtarzam.

Maleparta wysłuchiwał tych rad i gawędy z pewnem niedowierzaniem. Tyle w świecie oszukał ludzi, że wreszcie od każdego lękał się być nawzajem zwiedzionym i upatrywał wszędzie oszustów. Tu jednak zbadać nie mógł jeszcze interesu, jaki by mógł mieć w tem rotmistrz.

— Ale bo szanowne panisko — przerwał p. Atanazy, podobno nie te jedne dobra masz u nas w koronie?

— O! nie! — dumnie odparł Maleparta, udając lekceważenie — w Sandomierskiem, Lubelskiem, Płockiem, na Podlasiu, w Litwie i Inflanciech dobra moje rozsypane. Co się tyczy tego kluczyka...

— Ale to klucz całą gębą! — rzekł rotmistrz.

— Drobnostka przy innych moich majątkach. Jedne Inflanckie dobra moje, które otrzymałem po ś. p. żonie mojej, Mrozickiej z domu, rodzącej się z baronówny Gielbsteru, przynoszą ze sześćdziesiąt tysięcy rocznego procentu.

Rotmistrz osłupiał, ale śmiechem przymuszonym pokrył zadziwienie swoje.

— A, mówił dalej Maleparta, gdyby się tu co udało w sąsiedztwie przykupić, kupiłbym do tego kluczyka, który uważam za drobnostkę.

— Pańska fortuna! całą gębą pańska fortuna! — rzekł p. Atanazy. — Jasnie wielmożny pan dobr. tak żyjesz skromnie, cicho, bez wystawy.

— Tak żyłem dotąd — odpowiedział Maleparta — ale zmienię podobno tryb życia, bo mi się samotność naprzykrzyła.

— I może byś się chciał ożenić?

— Ożenić? ba! zapewne, gdyby dobrze — rzekł Maleparta. — Nie mając dzieci, obowiązków.

— A familja.

— Nikogo z familji. Ożeniłbym się gdyby w dobrym domu i gnieździe.

— Nic łatwiejszego.

— Ale bo ja jestem trudny.

— I masz nim być prawo.

To mówiąc i widząc że już głównego celu podróży swej dopiął prawie, dowiedział się co chciał, zaprosił — rotmistrz dobył swojego zegarka:

— *Hora canonica.*

— Napilbyś się wódki, p. rotmistrzu?

— Z ochotą.

Poszedł z pokoju mecenas dysponować przekasę, pan Atanazy spieszuie rzucił okiem na papiery po stole rozrzucone. Na wierzchu był spis funduszków mecenasa, w ziemi, kapitałach, fantach i t. p., nie wiem dla czego sporządzony i jak tam leżący. Chciwem okiem przebiegł go rotmistrz, notując w głowie, aby mógł powtórzyć staroście co się dowiedział z niego.

— Ależ bogaty! ależ bogaty — powtarzał — to Krezus! A jak żyje! Osobliwsza rzecz, miałaby być tak skąpy?

Nadszedł Maleparta, a za nim odarty chłopiec niósł przekaske lichą. Po odejściu posługacza, rotmistrz znowu wdał się w rozmowę.

— W głowę zachodzę — rzekł, czemu to wielmożny pan dobr., miły sąsiedzie, przy takiej fortunie, używać jej nie chcecie, i żyjecie gorzej szlachcica na jednej wiosce.

— Miły panie rotmistrzu — odparł szydersko uśmiechając się mecenas — fortuna to dorobkowa. Gdybym był na niej żyć zaczął od razu dobrze, jak nie jeden szlachcic co wprzód zjada nim ma, nie doszedłbym do takiej majetności. Ja myślę skończyć na tem od czego drudzy poczynają.

— Świete słowa jego! — zawołał rotmistrz — ależ czas użyć, gdy się ma.

— Zapewne! i użyję — rzekł Maleparta.

— Radujem się, że to zapewne nie gdzieindziej jeno u nas będzie.

Mecenas zamilkł.

— A że — mówił dalej p. Atanazy — od pierwszego widzenia sąsiada, czulem i czuję ku niemu prawdziwą skłonność, z przestrogą przyjacielską pospieszam, poznać się ze starostą, dać wam rady zdrowe, bo to bywalec, co wie jak sobie z fortuną począć i do honorów pokaże drogę. W całej tu ziemi nie znajdziecie mu równego pana, coby panem będąc, bo ten tytuł z rodu, fortuny i honorów słuszenie mu należy, z bracią szlachtą żył lepiej i poufalej. To też nie chwałąc się, szlachta cała porąbać by się dała za niego i słowo starosty, rozkazem dla niej. Nie widziano u nas, aby kto poszedłszy przeciw niemu, utrzymał się.

— Starosta ma familją?

— Siostrę, dojrzałego wieku, która senatorom ręki swej, dla independencji charakteru odmówiła, wielkiego animuszu białogłową, i córkę *flor incomparabilis*, wychowaną wedle światowych reguł, młodą jeszcze. Obie co roku w Warszawie sollicytowane przez mnogość konkurentów, dotąd wedle serca i dostojności swej *socios vitae* sobie nie dobrały.

— A żona?

— Zmarła dawno. *Tandem*, rzekł powstając rotmistrz, kiedyż się go w Porajowie spodziewać możemy?

— Nie wiem, ale pragnę poznać tak dostojnego sąsiada i wielce mu panu wdzięczem — dodał Maleparta — że mi to ułatwić obiecujesz.

— *Ex toto corde!* Ale kiedyż? abym nie odjechał.

— Ot tak temi dniami.

— Gdyby w niedzielę — spytał p. Atanazy — toż to się tego dnia wiele szlachty na mszę i cały potem dzień do starosty zjeżdża, poznałbyś wielmożny pan dobr. za jednym razem obywatelstwo nasze.

— Będę się starał być w niedzielę.

— A więc *ad videndum* — dodał rotmistrz kłaniając się i biorąc czapkę.

Maleparta wyprowadził go na ganek, asystował do siadzeniu bulanka i nie wszedł do izby, aż w Wierzbowej ulicy pokłusował już jeździec. Powróciwszy i usiadłszy począł rozmyślać mecenas nad odwiedzinami rotmistrza.

— Być nie może — mówił do siebie — aby to on tu przypadkiem zajechał. Udawał że do rządzcy, a potem się wygadał, że wiedział już o mnie. Coś to jest w tem. I to zapraszanie do starosty nie bez kozery. Hm! Coś to jest! Niechybnie. Albo im głośn na sejmik i partyzanta, lub kandydata ciałem i duszą zaprzedanego potrzeba, albo na pieniądze moje kroją! Dowiedzmy się naprzód, co to za jeden ton starosta i kto taki ten pan rotmistrz.

— Wolać mi Berka arędarza.

Posławszy po żyda mecenas, bo dawnym zwyczajem żydów za najlepiej informowanych uważał — sam począł chodzić i myśleć.

W godzinę zjawił się żyd, w nowym łapserdaku, z wygoloną świeżo głową (bo to były ich święta) i dość przestraszony niespodzianem wezwaniem.

— Słuchajno, mosanie Berku — rzekł Maleparta — powiedz mi szczerze i otwarcie.

Żyd jarmutkę zdjął.

— Powiedz mi co wiesz.

Żyd pokłonił się nisko.

— O naszym sąsiedzie, panu staroście z Porajowa.

— Jasny pan jego zna?

— Właśnie się dla tego pytam, że go nie znam.

— Nu, co mam powiedzieć? — mruknął żyd drapiąc się w głowę.

— Wszystko co wiesz.

— A co, p. starosta, pan z panów, mioszka w zamku, żyjo bardzo po pańsku, szlachtę poi i karmi, na sejmiku króluje.

— Bogaty?

— Jasny pan żartuje?

— Pytam się.

— U niego jest miasteczko i klucz, kilka wsi, ale

długów!

— Wiele długów?

— Nikt nie policzy, on sam nie wie, on taki bogaty w długi, że gdyby miał trzy Porajowa, to by ich nie popłacił.

— Cóż robi?

— Nie płaci.

— A kredytorowie?

— A cóż, milczą!

— A proces?

— A kto z nim wygra.

— To widzę ptaszek noszony — rzekł w duchu Maleparta — potrzeba się mieć na ostrożności z nim i... kieski pilnować.

— Wiele tu panów do niego przyjeżdża?

— Bardzo wiele! On pół roku mieszka koła króla w Warszawie i powiadają że król jego kocha bardzo, a panowie wielkie także jego kochają i pieniędzy dają.

— Kto tam u niego w domu więcej?

— Starsza panna i młodsza panna, ale z pozwoleniem jasnego pana, one obiedwie już dawno takie jak dziś.

— Jak to?

— One obydwie już od kilka, kilkanaście lat wszystko prawie takie same. Córka p. starosty, to jeszcze niebardzo, ale siostra, to i bardzo dawno już na świecie.

— A więcej kto tam?

— Ludzi huk, hołota, dwór wielki, ale głodny. Jasny panie, tam tylko w niedzielę i dla gości luszytek, a reszta tygodnia post. Tam jest jeszcze pan burmistrz.

— Pan rotmistrz, chciałeś mówić?

— To wszystko jedno — dodał żyd: — won przyjaciół pana starosty, co jeździ za jego interesami i sejmikuje.

— Znał on się z naszym rządcą i bywał tu kiedy?

— Ja jego nigdy nie widziałem.

Pogadawszy z żydem, odprawił go Maleparta, wiedząc co chciał wiedzieć i pewien będąc, że starosta

potrzebuje go do sejmikowej jakiejś sprawy i dla tego rotmistrza doń wysłał. — Pojadę, mówił do siebie, będę, zobaczę, wyrozumiem. Jeśliby się udało zyskać obietnicę pomocy na sejmiku, to tutaj zostanę. Będę ostrożnie z niemi i nie dam się wywieść w pole. Starosta goły, ale ma związki, kolligat, personat i wzięty, mógłby mi się bardzo przydać.

Tak myślał Maleparta, chodząc po izbie i kołysząc się marzeniami honorów, których chciał dostąpić, projektując ożenienie, senatorskie krzesło i zatarcie nowemi związkami niebardzo pięknej przeszłości, o której i sam chciał zapomnieć i wybić ją drugim z głowy.

---

## ROZDZIAŁ IV.

Ponieważ rotmistrz w swoich ekskursjach nigdy nie jechał prostą drogą, ale miał niezmienny zwyczaj zbaczać i wstępować gdzie się tylko z komina kurzyło, z wiadomościami i po wiadomości, a nadewszystko dla nakarmienia wiecznie cudem jakimś próżnego żołądka, prawdziwej beczki Danaid — nie stanął więc z powrotem w Porajowie, aż późnym wieczorem, nie mając względn na niecierpliwość z jaką go oczekiwał starosta.

— A przecież, powróciłeś wać — zawołał Poraj do rotmistrza wchodzącego na salę, w której zebrane było całe towarzystwo zamkowe. — Musiano asana bardzo kordjalnie przyjmować! A cóż, udało się?

— O to i pytać nie ma czego! — rzekł z niejaką dumą rotmistrz.

Obie panie z ciekawością na niego spojrzały.

— Dostałeś wielmożny pan języka?

— Dowiedziałem się wszystkiego czego się było można i czego się chciałem dowiedzieć.

— No, to gadajże aspan.

— Młody? przystojny? — spytała Zuzia.

— Nieżonaty? — dodała panna Katarzyna.

— Bogaty istotnie? — podchwycił starosta.

— Pozwólcieź mi jasnie wiel. państwo choć odetchnąć.

— To się znaczy, że trzeba dać anyżówki rotmistrzowi — rzekł starosta — kiedy oddycha, zawsze wódkę piję, to mu zaraz sił dodaje! Nieprawdaż?

— Nie jestem od tego.

— Jesteś więc zatem. Kasieńku! — dodał starosta — powiedz tam komu niech przyniosą *aqua vitae*.

— Ostatnia faszka — szepnęła panna Katarzyna z westchnieniem.



— Jeden kieliszek!

Dano tedy pann Bryndzy wódki, a on zatarłszy czuba i pokręciwszy wasa, jął rozpowiadać i swoje przyjęcie, i rozmowę i szczegóły o których się dowiedział, i domysły wreszcie swoje.

Starosta słuchał go z uwagą, niekiedy przerywając sobie tylko wykrzyknikiem.

— Zkąd jemu takie majątności! Imię szlacheckie ledwie, a majątek pański! Co to? chyba wychrztą jaki, bo jak żyd bogaty i żyje jak żyd! Jakże się dorobił tej fortuny?

— Nikt nie wie — rzekł rotmistrz, — zdaje się że jurysterją, mecenasował w Lublinie.

— I powiadasz — ozwała się p. Katarzyna — że ci dał do zrozumienia, iżby się chciał żenić?

— Wyraźnie.

— A waćpanna zawsze tylko w każdym męża szukasz! — z wymówką i przekąsem zawołał starosta. — Jakiś podejrzanego może nawet szlactwa człowiek! Fi!

Panna Zuzanna ruszyła także ramionami, z politowaniem spoglądając na ciotkę.

— Niewiedzieć kto, i stary jeszcze i brzydki.

— Waćpannie tylko adomisy w głowie! — gorzko odparła Katarzyna. — A co do mnie ani mi się śniło myśleć o nim. Waćpaństwo ze starostą, zawsze mi najdziwaczniejsze myśli przypisujecie. Przecież gdybym tak za mąż wyjść chciała, to bym dawno poszła.

— I powiadasz, — przerwał niecierpliwie starosta obracając się do rotmistrza — że wcale nie wygląda na pana?

— Najmniejszej rzeczy, ot taki szlachcic pokorny jakby zagonowy, a na czole mu wcale nie jasno i czegoś jakby markotny, jakby niespokojny.

— Nie wie co robić z pieniędzmi — ozwał się wzdychając starosta. — A! gdyby mnie oddał, nie chmurzyłbym czoła!

— A grzeczny? — spytała p. Katarzyna.

— Już to nie wielki polityk — odparł po chwili



rotmistrz — prosił mnie do siebie, bo musiał i samem mu się wśliznął, ale ledwie wódką nieosobliwą i to dopiero gdy m się przymówił, poczęstował.

— A jeść?

— Nic nie dał!

— Jakże w domu?

— At! papierów najwięcej.

— Musi być jurysta! — dodał starosta. — I powiadasz waść, że chciałby zostać czemś na sejmikach u nas?

— Dawał mi do zrozumienia.

— Mówileś waść, co ja na sejmikach znaczę?

— A ba! po cóżbym jeździł!

— Dał słowo że przyjedzie w niedzielę?

— Słowa nie dał, ale tak, zrobił nadzieję!

— Patrzaj go! droży się z sobą! — mruknął starosta — kiedy taki człowiek jak ja zaprasza go!

— Ja go wyraźnie nie prosiłem.

— Dobrześ uczynił, bo gdyby na zaproszenie tak odpowiedział, mości panie — dodał wznosząc głos starosta — to by był afront. Tymczasem na niedzielę rotmistrz, rozumiesz, trzeba nam wystąpić, aby go załupić. Po cicheńku szlachcie sprosić z okolicy i zebrać co można, aby wystawnie się okazać.

— Ale jaśnie wielmożny panie — rzekł rotmistrz, — nie wiele będzie można.

— Srebra co są w zastawie u żyda, na ten jeden dzień pożyczyć można.

— Jeźli da?

— Musi dać!

— A inne potrzeby?

— Pogadaj z p. Katarzyną!

— Zawsze na p. Katarzynę, kiedy co trudnego — odezwiała się stara panna prostując dumnie — a kiedy drwić, to jegomość pierwszy do tego!

— Dla honoru domu — ozwał się starosta — nie chciałabyś, aby się okazało, żeśmy w kłopotach o te tam fraszki.

— Piękne fraszki! nic nie ma i grosza nie ma.

— U żydów wiaść!

— Żydzi nie dają.

— To być nie może. Na miasteczku się dostanie czego potrzeba, do kuchni co zabraknie wybrać po wsiach u chłopów. Srebra pożyczyc, po wino posłać, liberje sług dobyć warszawskie, za jeden dzień jej nie zedra. Ale, kończył, dajcie mi z tem wszystkim pokój, bo nie lubię się zajmować takimi drobnostkami, mając tysiąc ważniejszych rzeczy na głowie. Dziś ekspeduję listy do Warszawy.

I wyszedł po tych słowach.

Po odejściu starosty, dwie panie wzięły między siebie rotmistrza, aby go się o nowo przybyłego wy-  
pytać dokładnie: jak wygląda, wiele mógł mieć lat, jakiego był wzrostu, oczów, cery i t. d. Sama Zuzia, tak wzgardliwa pospolicie, uderzona niezmiernemi bogactwami Maleparty, ciekawie opowiadania o nim słuchała, a obie mówiły sobie w duchu:

— Gdyby się ze mną ożenił, żyli byśmy w mieście, dworuo, pańsko, dawali obiady, i zagasili tych co tam świecą teraz pożyczanem.

— Cóż to że nie młody i nie piękny i po francuzku zapewne nie umie? — dodawała starościanka — czując się upośledzonym i aż nadto szczęśliwym z posiadania takiego rodu, wieku i piękności kobiety, dozwoliłby mi wszystkiego, paradowałabym po Warszawie! On by gdzie w kąciu siedział. Wyrobilibyśmy mu choć drążkową kasztelaninę, albo choć starostwo dla tytułu. Tem lepiej że stary! Zapisałby mi wszystek majątek! i — i

Panna Katarzyna, marzyła ze swojej strony:

— Dla wdowca, dla człowieka takiego wieku, nie ma stosowniejszej partji nad dojrzałą i rozsądną pannę. Gdyby się ze mną ożenił, oprócz posagu (bo o ten pewnie nie dba) wziął by osobę, pewnego charakteru, wypróbowanej cnoty, nie trzpiota. Pewna jestem, że takiej właśnie szuka. Już mi starosta dojadł swojemi przycinkami, chciałabym, choć jeszcze mam czas potemu i nie potrzebuję się spieszyć, wyjść za mąż i skosztować własnego chleba.

Starosta marzył ze swojej strony jakby dostać od niego pieniędzy.

— Jeśli zechce być czemś na sejmikach, bezemnie się nie obejdzie, a pierwszy warunek, pewne *quantum*, *titulo* forsy na sejmik, potem nie odmówi i pożyczki. Dla takiego jak on człowieka niepospolity honor, kiedy u niego taki jak ja pożyczka.

Wszyscy troje usnęli w marzeniach, a nazajutrz rotmistrz, panna Katarzyna i usłużne żydki sposobić się zaczęli do owej niedzieli. Żyd z poblizkiego miasteczka, u którego znaczna część sreber była w zastawie, zgodził się na pożyczanie ich, z warunkiem pozostania osobiście w kredensie przez czas obiadu i odebrania ich niezwłocznie. Liberją warszawską dobyto, dziedziniec oczyszczono, w starszą i wyszarzaną barwę przybrano lndzi, co zdala kupami dla ostentacji tylko w dziedzińcu stać mieli, aby wielki dwór reprezentować. Panna Katarzyna przybrała się staranniej niż zwykle do szlachty, Zuzia misternie ułożyć kazała fryzurę i upiąć suknię, starosta lamowy nałożył żupan, dobył spinki najbogatszej i pasa najsutszego, sam rotmistrz z kufra dawno nie widzianego dostał granatowego kontusza. Sposobiono się na przyjęcie Maleparty tak aby go osłepić, zaimponować mu i od razu go podbić. Ogromne drzewo genealogiczne umieszczono na samym widoku w sali jadalnej, dobywszy z kąta w którym od niejakiemu czasu zapomniane butwiało.

Sproszona po cichu przez rotmistrza szlachta zebrała się tłumnie na zamek, konuo, wózkami, kolaskami, taradajkami i bryczkami, dobrze przed godziną obiadu.

Starosta chodził niespokojny wyglądając sąsiada, powtarzając sobie: — Jeżeli przybyć nie zechce to mi afront zrobi, którego mu nie daruję.

Tymczasem Maleparta częścią przez ciekawość, częścią przez rachubę, postanowił odwiedzić i poznać starostę: chodziło mu o to tylko jak się przyzwocie zaprezentować. Nie myśląc nigdzie w odwiedzinę się puszcząć, nie przysposobił się do nich. Powozu, koni,

ludzi nie miał, a czuł że stosownie do fortuny swojej powinien był ukazać się, jeżeli nie chciał zostać upokorzonym. Lada szlachcie by go zaćmił. Próżny teraz, bolał już nad tem że się nie pokaże jakby mógł. Na prędce dostał sobie konia i postanowił z jednym jako tako przybranym sługą pojechać na zamek, dobrawszy strój stosowny do reszty przyboru, ciemnej barwy i skromny.

— Mniejsza o to, mówił do siebie, wiedzą że miałbym z czego lepiej się pokazać gdybym chciał. Rotmistrz, wysłany przez starostę, dawno już czatował pod gankiem aby wprowadzić Malepartę gdy przybędzie, ale i do stołu dano, dłużej czekać nie mogąc a Maleparta jeszcze się nie pokazał. Zmierzchało już gdy zsiadał z konia u ganku; rotmistrz pochwycił go zaraz pod rękę.

— A przecież, zawolał, doczekaliśmy się szanownego sąsiada! Chodźcież na górę. Starosta, któremu zapowiedziałem wasze przybycie, niespokojnie was wygląda.

Maleparta, nie bez bicia serca, poszedł za przewodnikiem. Już sam widok starożytnego zamku, ciżby sług, koni, powozów i całego tego pańskiego dworu, uczynił na nim wrażenie; teraz się ono wchodząc wewnątrz zwiększało. Ogromne izby pełne ludzi i ruchu, ciemne i posępne, a mimo ogołocenia jeszcze budową swoją wspaniałe komnaty, nieprzywykłe do nich, wydawały się dziwnie pańskimi. Szlachta co się zbierała gwarząc nad stolami, i spoglądając na gospodarza, formowała także rodzaj imponującego dworu. Sam starosta wysoki, surowego i dumnego oblicza, z tą pewnością i spokojem niezachwianym na twarzy, jakie daje życie na większym świecie, panował widocznie wśród tłumu, co mu się nisko ściskając go za kolana kłaniał.

Powitał on Malepartę z godnością i dumą, a jednak widocznie z nadskakującą grzecznością: posadził go koło siebie i zaczął rozmowę. Dawno ją był przygotował sobie i teraz szło mu jak z płatka, przy pomocy kilku szlachty blisko stojącej i potakującej raźnie słowom gospodarza. W początkach obojętna rozmowa

zwróciła się nakierowana umyślnie na stosunki, kolli-gacje, wziętość starosty, jego życie w Warszawie, znajomości z magnatami i ludźmi wszechmocnymi przy królu. Wśród niej wrzucał on zręcznie zapytania, badające Malepartę o jego przeszłości i zamysłach dalszych.

Mecenas z początku odurzony gwarem, widokiem zamku i dworu, a nareszcie i impozycji pełnego gospodarza, wkrótce przyszedł do siebie. Nie uniżając się, potrafił zachować ze starostą na przyzwoitym tonie. Ten spostrzegł wkrótce, po odpowiedziach Maleparty, że ma do czynienia z nie łatwym do wyprowadzenia w pole człowiekiem, zaczął więc być ostrożniejszym w słowach i baczniejszym w pytaniach.

— Pozwólcie — rzekł po chwili rozmowy starosta podnosząc się z krzesła — abym was szanowny sąsiedzie przedstawił mojej siostrze i córce.

Maleparta skłonił się. Weszli do bocznej komnaty, gdzie z niespokojną ciekawością, podglądając o ile mogły, siedziały dwie kobiety. Domysliły się one od razu, z kim wszedł starosta i rzuciły oczyma na przybywającego. Panny Katarzyna i Zuzia sznurując usta, powitały go ukłonem, poczem znowu wlepiły wejrzenia w gościa, co zimny, chmurny jak zawsze, szeptał coś pod nosem, nie wiedząc już jak z kobietami w których towarzystwie nigdy się nie znajdował. znaleźć.

Tu chwilkę posiedzieli tylko, ale rozmowa nie szła, urywała się, umiano w niej wszakże dać do zrozumienia nowo przybyłemu, że jeżeli zechce odwiedzać Porajów, mile go widzieć w nim będą.

— Spodziewam się — dodał na wychodnem z komnaty starosta — że nie zechcecie życzliwych odepchnąć i ocenicie naszą sąsiedzką ku sobie przychylność. Nie macie tu znajomych, obowiązkiem więc naszym dać wam poznać okolice, ludzi, wprowadzić was w nasze koło. Spełnim to z prawdziwem ukontentowaniem. — A teraz, — dodał, rachując na kielichy mające spełnić dla rozwiązania języka Maleparcie: — Zdrowie nowego sąsiada! — Podniósł puhar i wszystka szlachta za nim

wykrzyknęli jednogłośnie:

— Zdrowie nowego sąsiada!

P. Paprocki skonfundowany, ale mile połączony tą atencją, kłaniał się nisko, bełkotał coś i dziękował. — Usiedli, kielichy z rąk do rąk podawać zaczęto i zdrowia coraz dziwniejsze wymyślać. Starosta zachęcał do pijatyki i pilnował dobrze Maleparty, którego coraz mniej ostrożny, coraz więcej się durząc, spełniał wnoszone zdrowia, do których po staropolsku wszelkiemi sposoby nagłono. Szlachta już podpojona, ścisłała za kolana starostę, wykrzykiwała podrzucając czapki, i z serca ogłosiła pochwały gospodarza.

— Widzicie — rzekł na bok odprowadzając rotmistrz Malepartę — jak tu naszego starostę szanują i kochają. Mając go za przyjaciela i protektora, wszystko u nas zrobić można, a nie bez niego. On duszą naszej szlachty.

— Dziękuję wam, żeście mnie wprowadzili w dom jego.

— I więcej jeszcze podziękujecie — dodał rotmistrz — gdy się lepiej poznacie. Nasz starosta, to człowiek! Co mówię, mało, mało...

Ale zbliżył się i starosta ku Maleparcie, którego poufale wziął pod rękę. Mecenasowi już w głowie od wina i bujnych myśli szumiało, powoli przytemność zwykłą tracił, czując się jakby pochwycony tym gwarem, szumem, wrzawą, pociągnięty powszechnem wynurzaniem się i wesołą rozmową, do poufalszego wypowiedzenia swych myśli. Korzystał z tego starosta i wdał się w rozmowę, niespuszczając z tego tonu senatorskiego, jaki go nigdy nie odstępował, a jednak umiając się zniżyć nieco i spoufalić z mecenasem, którego brał za serce każdym słodszy słówkiem.

— Mój miły sąsiedzie — odezwał się starosta — powiedzcież mi, wszak myślicie zapewne zamieszkać z nami?

— Zapewne, zapewne! — rzekł mecenas — dla samego szczęścia sąsiedzowania z jaśnie wielmoż. panem.

— Wielce wam wdzięczny jestem i chciałbym oka-



zać moją przychylność dla was, jeżeli potrafie. Spodziewam się, że nie zechcecie napróżno siedzieć w domu i mogąc służyć Rptej skutecznie?

— Radbym z duszy.

— Możecie być posłem na sejmie!

— Nieznajomy jestem tutaj.

— Poznamy się!

— Nikt za mną głosu dać nie zechce.

— Nie bójcie się. Ja z wami! a mnie bracia szlachta nie odmówią.

— Potrafie?

— Potraficie, bylebyście chcieli — przerwał starosta. — Musiemy, powtarzam, musimy was zrobić posłem.

Mecenas uściśnął starostę.

— Ale o tem potem — zawołał gospodarz — zamieszkajcie tylko z nami. I—dodał ciszej, trzeba wam trochę szlachtę ku sobie pociągnąć... dom otworzyć, żyć wystawniej. Przywykliście jak słyshałem dosamotności.

— Potrafie od niej odwyknąć — rzekł rezolutnie Maleparta.

— Miło mi tak szlachetne widzieć w was sentymenta — dodał starosta a w duchu rzekł sobie: — Jesteśmy na dobrej drodze! Będzie się musiał starać przezemnie! Zatarł ręce. — Chodźmy! — zawołał głośno — chodźmy spełnić jeszcze zdrowie.

Podano kielichy i wypróżniono je krzycząc:

— Zdrowie gospodarza! zdrowie jaśnie wielmożnego starosty.

Napróżno chciał gospodarz wznieść inny toast, szlachta, a na czele jej zaanimowany Maleparta, zagłuszyli go. On dziękował ze swoją poważną dumą i protekcjonalną miną.

Nareszcie podpojona dobrze szlachta, powoli wysuwać się, dosiadać stepaków, taradajek, kolasek i bryczek zaczęła, zaturkotało w dziedzińcu i goście wynosili się po jednemu, po kilku, gwarząc jeszcze i śmiejąc się w ganku. krzycząc w bramie. Maleparta chciał także umknąć, ale starosta go zatrzymał.

— O! poczekajcie, rzekł, poczekajcie, rad jestem żem was złapał, nie tak łatwo wypuszcze.

Mecenas konfundował się dziękując, kłaniając, uradowany z dobrego przyjęcia, dla którego zapomniał o zwykłej ostrożności, o niedowiarstwie swoim.

— Siadajcie! siadajcie — rzekł starosta — spoczniemy po wrzawie, pogadamy swobodnie.

I tu korzystając z chwili, bardzo zrecznie rozwinął starosta przed oczyma odurzonego już Maleparty, obraz swojej wielkości. Opisywał stosunki swoje w Warszawie, wziętość na dworze, wpływy, kolligacje, umiał niby wypadkiem naprowadzać rozmowę na to co chciał powiedzieć, aby dać o sobie wysokie wyobrażenie nieznanemu. Malował mu osoby wyższego świata z którym żył w najściślejszych stosunkach, opowiadał anegdotki, w których grał znaczącą rolę. Godzina minęła na tem zdradzieckim ukazywaniu mecenasowi, z różnych stron, tego świata pańskiego, do którego tak już wstąpić pragnął, a którego co chwila zdawał się bliższym. Starosta czytał w oczach uietającego się gościa, jakiej innu napędzał oskomy.

— W Polsce dodał nareszcie — my magnaci nie stanowimy, jak to mylnie utrzymują, osobnej klasy, osobnego społeczeństwa, że tak powiem, rodu. Co jest znakomitego w szlacheć, przechodzi do nas prawem natury, prawem porządku koniecznego. Jednych wprowadza ród dawny szlachecki, któremu Instru piastowane godności wyższe dodają, drugich wielka fortuna, innych wielkie talenta. Patrzejcie ile to nowych przybyszów na tym naszym świecie, a ile z niego familji w dawne zapomnienie odpadło! Kolejają wznoszą się nieznane szlacheckie rody na krzesła senatorskie, chwytają buławy, infuły i laski, a znane i zasłużone imiona zniżają się i na zagon swój przy szabli orać idą. Nie myślcie, aby tylko ród wprowadzał do godności i znaczenia, ród taki na przykład jak nasz starodawny Porajów. Znam tysiąc gorszej i świeższej szlachty, co wyższe wszakże odemnie posiadał miejsca. W herbarzu Paprockiego mości panie, ledwo o nich czytasz dwa



wiersze, lub nie wcale, herbu nie znasz a jednak patrzaj gdzie są? U boku królewskiego, w senacie, i tylko co nie widać, jak zostaną książętami Imperji.

— Tak jest?

— Tak jest — rzekł starosta: — ożenieniem najczęściej z pięknego rodu osobą wchodzi bogacz w nasz świat, i dalej już, byle był szlachcicem, nikt go nie pyta, czy jego przodkowie sieli hreczkę, czy senatorami byli. Weźcie to do siebie, dodał, możecie być więcej i daleko wyżej, macie szlachectwo i fortunę ogromną, macie talenta, możecie dojść wysoko.

— Nadto mi podchlebiacie, starosto!

— Szczera prawda, przyjacielska rada, bylebyście chcieli, osiągnięcie wysoko. Nikt was nie spyta zkad idziecie, bo to i z mody wychodzi, i staroświecczyną traci.

Maleparcie nie trzeba było tak wiele, aby go do reszty zdurzyć, zapomniawszy na wszystko, wydał się z wesołym uśmiechem na twarzy, i starosta miał przyjemność widzieć naocznie skutek swej mowy.

— Tak, tak, kochany sąsiedzie, dodał: niechaj w kacie siedzi, kto w nim siedzieć musi, dla was to nie stosowna. Okradalibyście kraj z nżytecznego człowieka. Wierzcie mi, miejcie więcej ambicji: nie przystoi się tak zakopać na wsi, macie już dosyć, możecie przestać zbierać a zacząć używać.

Oszołomiony zupełnie, w najweselszym humorze, wyniósł się Maleparta, pożegnany najserdeczniej przez wszystkich z zamku starosty. Gospodarz wywiódł go na wschody, rotmistrz do ganku.

Gdy siadał na koń, spytał go:

— Kiedyż się zobaczymy?

— Podziękujcie jeszcze raz staroście za łaskawe przyjęcie i powiedzcie mu, że muszę pojechać do Lublina, ale za tydzień, a dwa najdalej, powrócę i nieomieszkam submittować się w Porajowie.

— Jedziecie więc znowu do Lublina?

— Muszę, ale na krótko.

— A zatem szczęśliwej drogi i prędkiego do nas powrotu.

— Dobranoc, dziękuję!

Mecenas zacinając silnie konia odjechał od ganku cały rozmarzony, z roztarganemi myślami, głową pałającą i pełną projektów. Starosta trafił w słabą jego stronę, rozdmuchał i tak już poczynając gonić w sercu ambicją. Teraz lecąc jak szalony na koniu, dziwnie daleko puszczał się marzeniami, widząc przed sobą zapomnienie przeszłości, nasycenie dumy i próżności; sukcesu piętrzące się jedne nad drugimi!

Ani się opatrzył jak stanął u ciemnego ganku Grabowego dworu, a znużony wrażeniami i drogą odbytą, padł na łożo i usnął. We śnie znówu widział się magnatem, a do koła klęczącą szlachtę, pijącą jego zdrowie i krzyczącą *vivat!* widział się u boku króla, okryty błyszczącemi od drogich kamieni sukniami, z czołem promieniejącem i sercem wzdętem dumą; widział się na zamku jakimś, w wysokiem krześle złotonem a mnogosc ludu pod nogami, zgolemi głowy, kłaniającą się jego wielkości.

Przebudził się, a sen nocny nie ustał w jego głowie, marzył jeszcze to samo co wczoraj, co w nocy. Szybko uczyniono przygotowania do drogi, łatwo mu było wybrać się, bo jeden tylko tłumaczek z sukniami i z papierami szkatulka, cały sprzęt podróżny mecenasa stanowiły.

— Pojadę — rzekł w duchu — pojadę i powrócę, aby nawzajem ich zdziwić i zaćmić mojem bogactwem. Mogę łatwo wystąpić jak on, i lepiej i wspanialej jeszcze. Mam z czego! Pojadę i powrócę innym wcale! Nie pożałuję na nic, wysypię pieniędzy ile ich potrzeba będzie, ile mam. Dopiero wówczas pozna mnie starosta!!

Tak mówił do siebie, i mówiąc sam jeszcze z sobą walczył. Dawne a długie skąpstwo, wkorzenione w sercu, przeciwilo się dumie, co je chciała sobie na ofiarę poświęcić. Żal brał rozsypywać pieniądze, tak pracowicie zgromadzone, w pocie czoła i sumienia powolnie wyssane z ludzi, okupione krwią i łzami, oszukaństwy i występki.

Wśród marzeń o przyszłej wielkości, przychodził żal pieniędzy, żal mających się roztrwonić dóbr, były chwile że mecenas chciał plunąć i porzucić wszystko, zamknąć się i zbierać dalej, więcej a więcej, bez końca.

Dumaj jednak już raz rozgospodarowawszy się w sercu, coraz w niem samowładniej rządziła, wszystko jej posłusznem być musiało, i po krótkiej walce, stare skąpstwo położyło się zwyciężone, podbite, bezsilne u nóg nowej królowej.

— Nie będę żałował niczego, mam dosyć — powtarzał jadąc Maleparta! — Rozsypię, roztrwonię, a jak mówił starosta, dojdę wysoko! Z pieniędzmi, gdzie nie można zająć. On miał słuszość! Na senatorskich krzesłach siedzą nie szlachta, siedzą bogate wychrzty, siedzą pludry Niemcy, czemużby nie miał go zająć szlachcic polski, co się dorobił fortuny???

W tej chwili stanęły mu przed oczyma cienie wszystkich ofiar poległych w tej walce, i posepny, pomieszany, zamilkł.

— To się zapomni! — rzekł w duchu: — tego już nikt nie pamięta. To dawno przeszło! Dawno!

---

## ROZDZIAŁ V.

Po wyjeździe Małoparty z zamku, starosta zaciera-  
jąc rękę, kręcąc wąsa, pociągając pasa, wszedł do ko-  
mnaty, gdzie dwie panie dryzłowały poglądając w mil-  
czeniu jedna na drugą, nie bez niejakiej niechęci. Obu  
im marzyło się już bogate za mąż pójście, i obie reily.  
że one tylko mogą się podobać Małeparcie, którego po-  
sępne oblicze, wzrok wilczy, bynajmniej ich nie odstra-  
szał.

Obie także domyślały się, że w sobie miały współ-  
zawodnicę. Jedna drugą mierząc okiem, szukała na  
twarzy wyrazu uczucia, którego się w duszy domyślała.  
i znajdowały czego szukały, bo nie umiejąc klamać  
twarzą, pod wpływem myśli silnej, wydawały się to  
półśmieciami bez przyczyny zjawiającym się na ustach.  
to zamyśleniem głębokiem.

— Śmieszna ta ciocia, mówiła w duchu Zuzanna.  
że jej się dotąd śni za mąż pójście i jeszcze tak  
świećcie.

— Dziwna ta Zuzia ze swojemi marzeniami, mówiła  
ciotka, pewna jestem, że jużby chciała złapać tego  
człowieka. Ależ szalona! młode to jeszcze, nie nie zna.  
nie rozumie, a już się wybiera za mąż! I za kogoż  
jeszcze.

Tak obydwie wzajemnie poglądały na siebie i szy-  
dziły w duchu z siebie, gdy wszedł uradowany w róż-  
żowym humorze starosta.

— Mam go teraz całego, rzekł, niepochlebiając.  
przywiązałem go do siebie węzłem ambicji, którą w nim  
wzbudziłem. Jedyną może mieć podporę we mnie i nie  
obejdzie się bez niej!

— Któż to? — spytały obie kobiety, niby nie wiedząc o czem mowa.

— A! przecież nasz sąsiad! Krezus! Krezus!

— Ale jakże okropnie wygląda! — odezwała się ciotka, udając obojętną wzgardę: — o miłą czuć szlachcinę zagrodowego.

— Ja tego nieznajdję — przerwała Zuzanna — prawda że nie piękny, ale ma coś w twarzy, w ruchu, wspaniałego, wzbudzającego uszanowanie.

— Powiedzcie raczej strach i wstręt, — szydersko, złośliwie i prędko, dodała ciotka.

— Ja tego nie widzę.

— Co do mnie — rzekł starosta — nieznajduje, ani jednego, ani drugiego. At! sobie fizys jakich tysiąc na świecie! Prawda nie ma w niej wiele szlachetności, ale natomiast jest coś surowego, co za nią płaci.

I nsiadł zamyślony. Widok siostry i córki, nowych mu myśli napędził do głowy. Nagle jak błyskawica przeleciał przez nią pomysł, związania Maleparty i jego fortuny ściślejszemi węzły z sobą. Począł dumać o ożenieniu go z jedną z tych dwóch kobiet, które w milczeniu siedząc, na pozór obojętne już tą samą nadzieją się kołysały.

— Ambicja obudzona, ożenienie, nowym dla mnie środkiem będzie! — rzekł w sobie: — myśl złota! Prawda, poświęcić potrzeba pamięć rodu naszego, jego świetności: ale za to, nie wiem jakich ofiar od niego wymagać nie mogę. Zrobi wszystko co zechce.

— Co innego jest traktować z obcym, co innego z powinowatym! Potrzeba go ożenić, koniecznie ożenić! Rotmistrz mu tę myśl podda: córki nie poświęcę, nadto jeszcze młoda, mam widoki na nią, książątko to w Warszawie, bardzo na nią patrzalo, mógłbym mieć zięciem człowieka wziętego u dworu i ze znaczeniem, a bogatego szwagra. Przytem, p. Katarzyna blizka lat pięćdziesięciu. On nie młody. Zmarliby bezdzietnie, sukcesja na mnie lub córkę dopilnowawszy się z intercyzą. Obstań przytem aby zrobił opis po-

trzebny i rozumie się że inaczej niedopuszczę małżeństwa, chyba wyposaży ją dobrze i zapisze majątek. Myśl złota! Trochę jej poświęcić potrzeba. I ileż to ekskuzuje mnie przykładów, ile małżeństw podobnych w najpierwszych rodzinach kraju. Ile połączeń z domami szlacheckimi, bez fortun nawet, a tu fortuna — i jaka jeszcze fortuna! Złota myśl, powtarzam, to tylko sęk, czy p. Katarzyna zechce; mówiła coś o nim z przekazem? Pełnoletnia! Zawsze jednak zostaje pod moją władzą i opieką. Namówię ją, namówi się sama! A w ostatnim razie, w razie oporu — Zuzia pójdzie za niego! Nie chciałbym jednak dawać mu Zuzi!

Starosta mówił tak sam do siebie, chodząc po izbie wielkimi krokami i niezważając wcale na kobiety, które w milczeniu to na siebie, to na niego poglądały.

— Tak jest! — powtarzał — jeżeli tylko wieści nie zwodzą, jeżeli tak bogaty w istocie, jeżeli się dowiem o nim, że przynajmniej nie splamił się niczem zbyt brudnem, dam mu siostrę, wreszcie córkę. Będę go miał w rękę! Rotmistrza użyję na spenetrowanie jego zamysłów i poduszczanie go z lekka. To zreczny człowiek: rozmówmy się z nim.

Szybko wybiegł z pokoju zamysłony starosta i udał się do swojej komnaty, w drugiej stronie zamku położonej. Była to jedna z tych staroświeckich izb sklepionych, z wązkimi oknami, grubymi i pełnemi framug ścianami, z drewnianemi wśród nich ramami, w których wisiały resztki niedopłwowialego zielonego adamaszku. Na nim z czarnych grubych ram, wyglądały zasępione portrety kilku Porajczyków, z długimi wąsy, w szubach karmazynem pokrytych, z laskami w rękę, sygnetami na palcach, czapkami futrzanymi na głowach. Nad każdym z nich świecił herb w górze, jak owa gwiazda trzech króli, wiodący ich do wielkich czynów, do świata sławy i blasku. Starosta spojrzał wchodząc na przodków, i uczuł się małym, w oczach tych nieugiętych sarmatów. Jeden z nich poległ w obronie kraju, na granicy tureckiej; drugi

zubożał na posługach Rzptej; trzeci rozsiekany został przez szlachtę, gdy ją od szalu odводził i upamiętać chciał słowy rozsądku i przykładami cnoty. Jak daleko było wnukowi do dziadów! Jeszcze ten sam na nim był strój, ta sama krew w żyłach, język w ustach, a już serce tak różne, charakter tak odmienny. Jak niżej stał od tych ludzi, co nieśli każdy do potomności z sobą jakąś zasługę i cnotę!

W tej izbie, nie było jak dawniej bywało, za onych dziadów i pradziadów sławnych; wisiały tam niegdy kołczugi, zbroje, pancerze, paweże, proporce, buńczuki, szable, arkabuzy, rusznice — teraz na ścianie jednej zwierciadło w ramach srebrnych, na drugiej wizerunek bitwy wyblakły i płowy, w kącie zegar z postumentem szklannym, w pośrodku stół papierów pełen, pod nim papiery, po kątach, na oknach, całe życie w mizernych papierach, adresowanych *z szczerym affektem do Mościwego pana brata*, i rzuconych w kąt przez niego.

W najciemniejszym izby rogu, jedna stała karabella zardzewiała, niedotykana i widocznie tylko *pro forma* noszona. Nigdzie zbroi, nigdzie śladu rycerskiego dzieła, co dawniej wsiąkało w siebie wszystkie życie polskiego szlachcica. Smutno, ciemno, zapylono!!

Środkiem tej izby chodził żywo starosta z chmurnem czołem. ręce założone w tył, głowa spuszczone ku ziemi.

Posłał po rotmistrza i czekał obracając się ku drzwiom, a ten ktoby go widział przed chwilą w sali między szlachtą, wesołego, ochoczego, dumnie po gościach spoglądającego; zdziwilby się naglej odmianie twarzy. Porysowało się czoło, oczy blask straciły, usta uśmiech, schylił się we dwoje, zmalął, znikczemniał. Tak myśli go gryzły, tak niespokojność piekła go wewnątrz, że widać było wszystko choć na przywykłej do tajenia, co się w duszy działo, twarzy.

Nareszcie nadszedł rotmistrz, przecierając oczy, trochę podpity, bo mu zasnąć nie dali, a właśnie był uprojektował sobie spocząć, gdy go z pierwszego sa-



zbudzano. Smutny, drapiąc się w głowę, stanął przed starostą, który dostrzegł, że nie można z nim było o niczem mówić na serjo, a przecież nie mogąc pokonać potrzeby wynurzenia się zawołał:

— Wiesz Atanazy, przyszła mi doskonała myśl do głowy, chciałem ci ją zaraz odkryć, bo ci ufam i tyś u mnie prawą ręką.

Rotmistrz coś mruknął dziękującego, za odpowiedź.

— Jeżeli to prawda — dodał starosta, — że ten twój Paprocki, tak bogaty.

— To pewna, jasnie wielmożny starosto, że jak gdyby był żydem, albo —

— Co pleciesz — krzyknął starosta w gniewie. — On nie może być żydem.

— Albo przechrztą — dodał spokojnie rotmistrz ziewając i ukrywając ziewanie w rękawie.

— On nie może być przechrztą — przerwał gwałtownie starosta: — to być nie może. Albo waćpan słyszałeś że ou przechrztą?

— Ani wiem; ani słyszałem, ani być może. Szlachcic z szlachty starodawnej, wypróbowanej, miał (wiem od niego) sprawę z synowcami czy stryjami, nie pamiętam, o majątek. Tandem gdyby był przechrztą, nie miałby ani stryjów ani synowców.

— Masz Waćpan racją, tak, tak, — dorzucił starosta — nie może być przechrztą, nie może. Zgubiłby mnie.

— Jakto jasnie wielmożny panie?

— A tak, bo mi doskonała myśl przyszła. Mam na niego projekta.

— To ja wiem — wycedził p. Atanazy powoli i ospale, przecierając oczy.

— Ale Waćpan nie nie wiesz.

— Może i nie wiem.

— Słuchajże Waćpan.

— Słucham jasnie wielmożny starosto.

— Przerywasz mi, rotmistrzu.

— Milczę jasnie wielmożny starosto.

— Milczże i słuchaj.



— Milczę i słucham.

— Ale chciejże milczeć, naprawdę! — Rotmistrz, który po pijanu rozumując, sądził że powinien był dotrzymać rozmowie jakimi takimi odpowiedziami, znowu gębę otworzył, ale mu już starosta niecierpliwy, nie dał mówić.

— Złota myśl, powiadam Waćpanu! Jeżeli tak bogaty, czemu by się nie miał ożenić, albo z p. Katarzyną?

— Istotnie, ożenić by go z panną Katarzyną.

— Albo — dorzucił starosta — jeżeli żadnym sposobem nie zechce, to z Zuzią.

— Istotnie jaśnie wielmożny starosto, ożenić.

— Waćpan napiły jesteś rotmistrzu?

— Istotnie, jaśnie wielmożny panie.

— Idźże waść spać.

Rotmistrz pokłonił się w milczeniu i odszedł. Dopiero nazajutrz rano, na chłodno, wzięto tę rzecz pod rozwagę.

— Ale — rzekł nasamprzód starosta — wara o tem szepnąć komukolwiek, bo fora ze dwora! Pójdziesz Aść precz bez litości.

— Jeszczem się nigdy nie wygadał.

— Waćpan go spenetrujesz, gdy tam z tego Lublina powróci, czy ma intencją ożenić się.

Jużem go spenetrował.

— I cóż?

— Ile przypominam sobie, mówił mi że gdyby dobrze.

— Ależ nie może być lepiej nad to co mu się stręczy.

— Z panną Katarzyną?? — spytał rotmistrz.

— Chociażby.

— Nie zechce.

— Dla czego? Dojrzała, wytrawna, sam wiek dla niego, imienia pięknego, fortuny mu nie potrzeba, koligacje zaszczytne, protekcja nareszcie.

— Nie zechce.

- Dla czego?
- Bo ma pod ręką starościankę. a z dwojga wybierając.
- Ja mu jej nie dam.
- Hm! — szepnął rotmistrz — to się zobaczy, spróbuje.
- Waćpan. jak powróci, niby tak od siebie, radź mu połączenie z moją familią, ogólnie. Nie taj jednak że będą trudności.
- Alboż będą? naiwnie spytał Atanazy.
- Muszę się podrożyć!
- Aha! rozumiem.
- Mów od siebie, wystawując korzyści takiego połączenia, opisz moje wpływy, (ale zawsze od siebie): podbijaj hębenka, ja co z mojej strony potrzeba będzie uczynię. Nadewszystko wystaw mu Waćpan, że tu się bez wielkich ofiar pieniężnych i zapisów nie obejdzie. Potrzeba aby mi zapłacił za to, że się aż do niego zniżam. A jeżeli mi dobrze usłużysz, bądź pewien mojej łaski i protekcji.
- Właśnie chciałem się przypomnieć jaśnie wielmożnemu staroście, już to piąty rok. jak o ten przywilej proszę, i zawsze —
- I zawsze muie ktoś ubiegnie — przerwał niecierpliwie starosta: — ale teraz gardło ci daje, że go wyrobie u króla. Ostatnia razą król mnie ściskając przeproszał, że nie mógł zadość mej prośbie uczynić i zapewnił. że pierwszy wakaus.
- Rotmistrz za kolano uściśnął starostę.
- To Waćpana interes ja' mój — dodał pan — bo jeżeli nie będę miał pieniędzy od tego człowieka, nie pojedę do Warszawy i wszystko w łeb weźmie.
- Ja się będę starał duszą i sercem jaśnie wielmożny panie.
- Równie dla mnie, jak dla siebie to uczynisz. Dodaje jeszcze, jeżeli się to uda, karego ogierka z mojego stada co się tak Waści podobał. A kiedy miał powrócić z Lublina?

— Mówił że z drogą do dwóch tygodni zabawi.

— Przypomnij mi waść, abym się potem w Lublinie o nim dowiedział.

— Dowiemy się, ja sam pojedę.

— Dobrze, ale naprzód ułóżmy wszystko, przygotujmy, spenetrujmy go: przechrztą być nie może, ani tak już jawny lotrem. Zresztą bogaty, wiele mn ludzi zapomną, a wiele mogą i niewiedzieć, wszak w Lublinie mieszkać nie będzie?

Po tych słowach rozstali się.

Gdy tak hurzy się starosta projektami i niecierpliwie przybycia Maleparty oczekuje, dwie panie z Porajowa roją. każda sobie, na rachunek sąsiada, dziwnie piękną przyszłość. Jak to się dzieje, nie wiem, że gdy kochankowie się poznają wejrzeniem, tak samo poznają się nienawistni sobie i współzawodnicy? Jest coś co szepczą do ncha — on ci nie sprzyja, on równo z tobą do jednego bieży celu.

Poznały dwie kobiety, ciotka i siostrzenica, z wejrzenia. nie wiem z czego, że obie godziły do jednego zamaż pójścia i zawsze nie bardzo zgodne, teraz jeszcze mniej się stały przyjazne. Nie mówiły do siebie, a jeźli się ozwały, to się wzajemnie klóły temi słówkami na pozór niewinnemi i bez znaczenia, co najgorzej bola, bo się do rany od nich przyznać nie można, ani o nią poskarżyć. Zuzia jako młodsza i pod władzą ciotki zostająca, władzą, którą za tyrańską uważała, zawsze z uszanowaniem odzywała się do p. Katarzyny, ale niemniej ranić ją umiała boleśnie. P. Katarzyna ani się taila ze złym humorem i swoją do siostrzenicy pretensją.

— Gdyby jej tu nie było — mówiła w dnach — musiałby pomyśleć o mnie; a tak gotów rzucić okiem na młodszą. Ale to być nie może! Nie, nie, statysta, poważny człowiek, miałżeby sobie tę przepiórkę, tego trzpiota, tę lalkę fraucuzką podobać? — Nigdy, pewna jestem, że jeźli myśli o ożenieniu, zwróci się ku mnie.

Zuzia spoglądając na ciotkę mówiła w duszy znowu:

— Jużcić cioci śmiesznie byłoby chcieć iść za mąż! Mało co młodsza od ojca, sama mówi, że pamięta doskonale nieboszczyka Augusta II! A on, mógłżeby pomyśleć o niej? Niepodobna! O! gdyby się ze mną ożenił!

Z tą myślą troje mieszkanców Porajowskiego zamku, kładli się spać, i wstawali przez dwa tygodnie.

Z rozkazu starosty, od połowy drugiego, codziennie konny posłaniec, przejeżdżał przez Grabowy dwór, zatrzymywał się u karczmy i pytał arędarza o powrót pana. Żyd zawsze odpowiadał: codzień się spodziewają. Nareszcie jednego dnia, doniósł posłany, że kuchnie, konie powodne i część dworu nadeszły, a dziedzic spodziewany był nazajutrz.

Rotmistrz pobiegł z wiadomością do starosty — uśmiechając się do siebie.

— A co tam!

— A co! dziwne dziwy jaśnie wielmożny starosto. Wszak to nasz sąsiad, już spaniał.

— Powrócił!

— Nie, jeszcze nie, dopiero się go jutro spodziewają. Ale słyszycie! on com go w białym kitlu płóciennym, z jednym chłopakiem do posług, pierwszy raz tam będąc, znalazł, teraz jedzie dworno, kuchnie, konie powodne i część dworu dziś przyszły.

— Któż ci to mówił?

— Posłany i dodaje, że dwór ogromny, konie piękne, czeladź ubrana wytwornie i kuchnia i piwnica zajmowały kilka wozów.

— Skutek danych mi tu przestroż. To wyśmienicie — zawołał starosta — znać że słaby człowiek, zrobimy z nim co zechcemy! Waćpau miej się na pogotowiu do wyjazdu jutro.

— Jutro dopiero przyjedzie.

— Masz rację, więc pojutrze dopiero, pojutrze rano na bułanego, a uważaj dobrze abyś mi wszystko opisał dokładnie. Dziwny człowiek, dodał, albo my go nie rozumiemy, albo słabego bardzo charakteru; z czego się śmieję mocno.

— Ale, ale — przerwał po chwili odwołując od drzwi rotmistrza: — kiedy tak, Waćpanu nie wypada zjechać do niego lada jak, bo byś źle tam mój dwór reprezentował. Weź ze sobą Kondrata niemca luzaka, rząd na konia nowy, i przybierz się jak tam uważasz.

— Już to niepochlebiając sobie — odpowiedział rotmistrz (trochę rad luzakowi, trochę markotny przestroga) — damy sobie radę.

W pół godziny potem, starosty siostra i córka wiedziały już, przez panny służące, które słyszały od ludzi, co słyszeli od człowieka, wiedzącego o tem od rotmistrza, iż pan Paprocki nadjechał do Grabowego dworu z królewskim dworem, w wielkiej assystencji, z kuchnią, koźmi, kolasami, ludźmi, i obie na tę wieść poklasnęły w dłonie.

— Widocznie chce się starać! Już nie darmo taki zachód, taka wystawa!

I spojrzały na siebie ukradkiem, wyczytały wspólną radość, zasmuciły się nią, skrzywiły i tyłem obróciwszy, odeszły.

— Ręczę, że cioci się zdaje, że to wszystko dla niej.

Gdy nadeszło pojutrze owe, którego i starosta i rotmistrz wyglądali zarówno, ranienteńko siadł na koń Atanazy i wedle zwyczaju przeżegnawszy ziemię przed koniem. potem siebie, ruszył z kopyta, poglądając na luzaka w barwie starosty. co mu raz pierwszy assystował.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Dojeżdżając do Grabowego dworu, wielkie oczy wytrzeszczył p. Antanazy na niesłychane zmiany, jakie tu zaszły od dwóch tygodni. Posłaniec nie mu o nich nie mówił, a było o czem, zważywszy sam pospiech, z jakim się dokonały. Dziedziniec, stary dwór, oficyny, zabudowania blizkie, wyglądały do niepoznanienia odinłodzone, odświeżone, upięknione; droga nawet co wiodła do dworu wysadzana staremi wierzbami, przybrała jakiś pozór niedzielny. Po obu jej stronach na nowo okopano rowy, wystawiono mostki, zgarnięto suche napadło gałęzie, wyrównano doły. Dziedziniec otoczył się świeżym bielejącym z daleka parkanem i ogromną bramą otwierał, sam dwór, do którego się teraz dojeżdżało brukowaną drogą, wybielony, z nowemi okny, drzwiami, słupami, barjerami, wydawał się jak nowy.

Stajnie, wozownie, zabudowania folwarczne równie starannie ubrane były w nową sukionkę. Ale co najbardziej, co do niepoznanienia zmieniło Grabowy dwór, to ruch w dziedzińcu, niedawno tak milczącym, gdzie tylko gęsi, kaczki i indyki czasem się zatrzepiotaly i odezwały. Teraz wcale tu inaczej już było, przed stajniami gromadka ludzi w barwie porządnej krzątała się przy koniach, wozach, kołasach i ogromnej, złocistej, malowanej, skórą pasową wybijanej karecie, której gałki świeciły wspaniale nad ogromnym pudłem, umocowanym na czterech wyrzynanych misternie słupach. Wiedziono pokryte żółtemi derami konie od wody i do wody, opatrywano inne, przeprowadzano zwolna w ręku. Przy folwarku kręciła się licznie zgromadzona czeladź, u drzwi domu ukazywało się pełno dworaków, siedzących, wychodzących, krzątających się, wnoszących kufry i paczki.

W obu gankach ścisk był różny.

Rotmistrz który głowę na widok tej metamorfozy stracił, i czuł że się źle wcale wydawał przy tym dworze tak świeżo i wytwornie odzianym, tak licznym; mimo że niedawno pysznił się swoim luzakiem, teraz zwinął chorągiewkę i nie wiedział już przed który ganek zajeżdżać.

— To cały szatan — rzekł w duchu: — kiwnął palcem i patrzajcie co zrobił! Teraz to już nie żartem wygląda na jaśnie wielm. pana! Co za dwór, jaka wystawa, jaka karetta! co za konie! Do tysiąc fur djablów, to niepojęta. Ale nie traćmy przez to głowy. Dobra nasza, bez marjasza!

I to mówiąc, a dla dodania rezonu, którego mu brakło, pokręcając wąsą potężnego, rotmistrz stanął u ganku, pytając:

— Jest pan doma?

— Jaśnie wielmożny pan?

— Już i jaśnie wielmożny! — rzekł w sobie pan Atanazy.

— Tylko co nadjechał! — odpowiedział dworzanin, mierząc oczyma przybysza.

Pan Atanazy zsiadł z konia i rzucił się we drzwi, pamiętając gdzie dawniej stał mecenas; ale go wstrzymano.

— Prosiemy tedy.

Wskazano drzwi na prawo, które się otwarły i zdziwiony coraz bardziej rotmistrz wszedł do wielkiej sali, wybitej pstrą materją w kwiaty, w której nikogo nie zastał.

— Pozwólcie żebym was oznajmił — rzekł wchodzący wygalowany (jak to już wówczas poczynano) sługa.

— Patrzcie, już czekać na siebie każe! dodał w duchu p. Atanazy. — Szatan nie człowiek! A takie to było pokorne, takie przystępne!

I gdy sługa szedł dalej w głąb, Atanazy rzucił okiem do kola. Podziwienie jego rosło co chwila wzmagając się. W tym domu, w którym będąc raz pierwszy,



zastał dwa stolki drewniane, stół dębowy i tapczanik tylko, teraz wspanialej było niż na Porajowskim zamku. Ściany błyszczwały świeżą i całą jeszcze pięknnością swych barw, jaśniejącą materją jedwabną w kwiaty ogromne. Do koła białe ze złotem stały krzoseł, stoliki marmurem kryte, kanapy, przeciw okien wielkie zwierciadła; w kącie zegar cały błyszczący od złocen i cacek co go ubierały. Od pułapu zwieszał się pajak misternej roboty z pięknego szkła rzuńtego i złoconego. A wszystko tak świeże, tak nie tknięte, tak młode, że p. Atanazemu, co przywykł był do okurzonej i wybladłej wspaniałości Porajowa, oczy od blasków się zmrúzały.

Ledwie miał czas obejrzeć się, gdy sługa drzwi otwierając, poprosił go dalej, a rotmistrz przytrzymując karabelę, i cisnąc czapkę pod pachą, pospieszył. W drugiej izbie powtórne zadziwienie. Małeńka, cała była kosztownemi wschodniemi kobiercami wybita, strusie jaja wisiały z pułapu, oręż turecki po ścianach, do koła siedzenie niskie, także dywanami na podłogę aż rościelającemi się wybite. Rotmistrzowi aż żal było stąpać po ślicznych kobiercach, ale musiał iść i jeszcze jedną izbę przebyć. Ta była cała w drobnych zwierciadłach, od stropu do podłogi i sto tysięcy razy odbiła się w niej fizys skłopotana zgawronionego pana rotmistrza, który już o czarach myśląc miał się żegnać, gdy przeciwległe drzwi otwarły się z trzaskiem. Wszedł dziedzic otwartemi rękoma witając, klaniającego mu się nisko, zdaleka gościa.

I Malepartę trudno poznać było. Na nim strój choć domowy, ale przedziwnie bogaty i piękny, wszędzie spinki i guzy błyszczące, na palcach sygnety, karabela kameryzowana od rękojeści aż do końca pochwy, pas z szalu tureckiego. A mina! Nie ten to już uniżony, nieśmiało patrzący szlachcic, co niedawno nie umiał słowa powiedzieć, ale ponury, surowy jak dawniej, a dumny i pewien siebie pan. Rzekłbyś że całe życie ubierał się w tyftyki i pana grał rolę. Wpatrzywszy się w oczy znawca byłby postrzegł jedyny znak fałszu: patrzyły one niepewnie, nieśmiało, choć udawały



dumną pewność, biegały w prawo i lewo, a to się śmiały szydersko, to groźnie badały, to blade świeciły na gniew czy strach duszy.

Maleparta postrzegł konfuzją rotmistrza.

— Ot widzisz — zawołał — jakim cię postuchał!

— Jak to?

— Zrzuciłem dawną skórę, masz mnie w nowej.

— Ależ, prawdziwie — jakaś pan Atanazy — to nie do pojęcia.

— Co, rotmistrzu?

— Te zmiany w domu, koło was, ten dwór.

— Sameś mi tego potrzebę wystawił.

— Prawda, ale —

— Aleś się nie spodziewał, tak rychłego i zupełnego posłuszeństwa?

— Bo to przechodzi wyobrażenie!

— A pieniądze od czego? — dumnie odparł Maleparta.

— Musisz ich mieć waszmość do licha, że jemu tak łatwo rozrzucać.

— Na długo nie zabraknie. — I mecenas uderzył się jakby po kieszeniach, a potem odwracając rozmowę:

— Jak tam, spytał, mają się w Porajowie?

— A, właśnie, właśnie, jasnie wielmożny starosta polecił mi oświadczyć —

— Bardzom mu wdzięczu: siadajcie.

Rotmistrz rad był zaproszeniu, bo w skutek pośpiesznej drogi i zdziwienia łytki mu drgały nieprzyjemnie. Usiadł i oglądając się na wszystkie strony, a wszędzie znajdując w zwierciadelkach powtórzoną sto-kroć razy twarz swoją, kawałki sukni, tu rękę, tu nogę, tam wąż i tam czuprynę — splotał uśmiechając z dziecinnem podziwieniem.

— Komedja ten pokój! — odezwał się.

— Nie prawda że ładny?

— Aż niemiło siedzieć! wszystko zdaje się że do kogoś tyłem i o kogoś zawadzę! Zkąd jegomości ten koncept?

— Zachciałeś, to ten bestja Włoch co mi dom wy-

porządzał skoncypował to głupstwo, i kazał sobie dobrze zapłacić za nie, papłąc mi o jakichś tam gdzieś księżętach, którym podobne izby robił.

Maleparta, jak każdy nowo zubożony i pierwszy raz chwalać się swem dobrem, niewymownie połączony był podziwieniem naiwnem rotmistrza!

— Ależ wystąpiłeś pan, wystąpiłeś! — zawołał Atanazy. — *Stipendium!* A jaka karetą, choć do Warszawy.

— Bo też z Warszawy sprowadzona.

— A konie?

— Drogo bo mnie kosztują! rzekł Maleparta z ciężkiem westchnieniem, które wydało go, że jeszcze żałował pieniędzy.

— I czyż dziw że drogo!

— A widziałeś dwór? — spytał Maleparta.

— Widziałem, wszystko widziałem i ciągle się dziwię.

— A tamte izby?

— Nie wiem czy u króla piękniejsze.

— A co kosztuje! — rzekł znowu mecenas. — Nie uwierzysz.

— Ó! uwierzę bardzo! Teraz już jegomości nie nie pozostaje — dodał zrecznie wywiązując się z poselstwa rotmistrz — jak ożenić się i zostać posłom.

— Tak myślisz?

— Tak sobie powiedziałem, zobaczywszy te cuda.

— O tem potem! — rzekł powstając mecenas i pocierając ręką po czole. — Przekąsisz co rotmistrzowi?

Pan Atanazy tylko się uklonił, mając na pamięci, znajome: *Qui tacet consentire videtur.*

Mecenas w dlonie klasnął i nadbiegła służba dworna drzwiami.

— Przekąski!

Trochę poczekali, Maleparta tymczasem obwodził rotmistrza, pokazywał mu wszystko szczegółowie i jako prawdziwy dorobkowiec, każdej rzeczy cenę mówił, nad każdą droższą się unosił, rozkazując chwalić i uwielbiać koniecznie. Aż znowu drzwi się otworzyły i dwóch

śług wnieśli na ogromnej tacy srebrnej żadaną przekąskę. W kilku fiaskach były gdańskie wódki, na misie zlocistej kurzyła się wyborna kielbasa, w drugiej bigos zapachem nęcił, były i fiaski z winem i kielichy i słodkie zakąski podostatkiem.

Oblizal się na ten dostatek rotmistrz, uśmiechnął zwycięzko mecenas, zdając mówić: A co?? Nie mniej bowiem od śniadania, zwracało oczy pana Atanazego podanie go na tacy ciężkiej srebrnej, w misach złożonych w fiaskach rzniętych, całych polyskujących, kolorowanych. Wkrótce jednak zapomniał o tem wszystkiem, począwszy po jednym i drugim kielichu, na jedną i drugą nogę, staroświeckimi obyczajem, wypitym, zajadać wyborną przekąskę. A zajadał tak, że mu za uszyna trzeszczało, że wasy smarowały się w sos, zawadzały i unosiły z sobą kawałki bigosu i szamerowały rozlicznemi jasnymi pregi nowintenki jeszcze kontusz, o którym w zapale zapominał. Zaczęto pić węgryna i gdy słudzy odeszli zostawiwszy fiaskę na stole, poczęła się rozmowa ożywiona między gospodarzem a gościem, bo oba mieli na siebie widoki i wzajemnie wybadywać się chcieli, a obu rezolutności dodał trunek.

— Powiadam jegomości — rzekł rotmistrz ocierając usta zatłuszczone i tłusciejsze jeszcze wasy — teraz chyba w konkury jechać i żenić się, takesz nam tu przybył pańsko i wspaniale. A jeżeli się nie mylę, to to i nie bez myśli pewnie?

— Zapewne że nie bez myśli — odparł mecenas:— ale sobie moją myśl źle tłumaczycie.

— Więc tak nie jest, nie chcecie się żenić??? — spytał szybko wpatrując się w niego rotmistrz. — Żartujecie chyba ze mnie.

— Czas już było przestać domatorstwa i począć żyć, odezwał się mecenas: — chcę zostać urzędnikiem na sejmiku tutejszym, a do tego musiałem wystąpić.

— Ale na cóż tak bardzo występować, jeżeli waszmość nie miałeś myśli — ożenienia.

— Jam to kilkakroć mówił ci, mój rotmistrzu, że nie obstaje przy tem, ale gdyby się trafiło.

— A! a widzisz jegomość, więc byś się ożenił? — Przerwał radośnie pan Atanazy. A widzisz!!

— Ale to tylko, gdyby dobrze a łatwo.

— Jegomość bo wszystko chcesz tak jak z płatka wywinął, i że się udało dwór, dom urządzić bez kłopotu, to i ożenićby się tak chciało. Jeszcze może, żeby i narzeczoną do domu przywieźli? Cha! cha!

— Przyznam ci się rotmistrzu, że kłaniać się nie lubię i nie będę.

— I jegomość chce jeszcze żeby się jemu pokloniono?

— Pozwól, rotmistrzu, że kiedy dając fortunę taką, wyciągam rekę.

— Więc jegomość chcesz dać fortunę? — Zagadniony w ten sposób mecenas pomieszał się:

— Dać? albo mówiłem że dam? To się rozumie, że używać jej będzie ze mną.

— E! to wcale co innego! — odparł rotmistrz.

— Chciałeś żebym się jej rzekł! A! a! nie takem głupi! — śmiejąc się zawołał mecenas.

— Ale jednak coś musisz dać, będąc wdowcem, a jeźli się ożenisz z panną, to *secundum vetustas consuetudines* zapis nienchronny.

— Zapewne, coś nie coś.

— Z jegomościnej fortuny, to i to coś będzie jeszcze dobre. A dalipan — dodał rotmistrz — jakim mu ra-  
dził zmienić tryb życia, tak bym mu teraz życzył ożenić się. Co u licha! Tak samemu jednemu gawę-  
czyć, bez familji, bez dzieci, fortunę niewiedzieć tam komu porzucić! Życie bez celu, bez nadziei.

— Ja sam to mówię! — rzekł mecenas. — Ale niechaj no się wprzód co trafi.

— Ot, wiecie co — zawołał zbierając się na odwagę i mentalnie żegnając rotmistrza. — Ot! wiecie co, chociaż nasza znajomość krótka, i nie mogę się zaszczycać ufnością, na którą *non merui*, dalbym wam jeszcze jedną radę.

— Słucham jej.

— Powiem wam, (pan Atanazy zbliżając się do rozwiązania węzła, ciężko wzdychał, pot ocierał, bełko-

tał); — powiem wam, że mnie się zdaje abyście się starali o siostrę jasnie wielmożnego starosty.

Mecenas się uśmiechnął, a rotmistrz choć to postrzegł kończył:

— Chociaż jasnie wielmożny starosta i słusznie dumny jest rodem swoim i kolligacjami; rodem, który wysokiej starożytności sięga, i od brata św. Wojciecha, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, męczennika pruskiego, wywodzi się. Chociaż Żyroslawów, Radostów, Boguchwałów, Wincentych, na biskupich stolicach, liczy między przodki swoje, chociaż znakomitego Kadłubka krewnym ma, a kasztelanów, podskarbich, podkancle-rzych, począwszy od Chrobrego czasów, tuzinami do drzewa genealogicznego wiąże — (tu odchrząknął) tandem, kto wie, ażaliby się starosta nie zmiękczył i siostrze swej imci panuie kasztelance wyjść za was nie dozwolił.

Mecenas parsknął szerokim śmiechem na te słowa, które wedle pana Atanazego, wielki efekt uczynić były powinny; w nich on bowiem wszystko czego się od starosty przez tyle lat nauczył, wysypał. Jakże się przeląkł, gdy śmiech usłyszał!!! Śmiech co mu się wydał zuchwałym, prawie bluźnierskim.

— Pozwólcie sobie powiedzieć, rotmistrzu, że w naszej Polsce szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie; a szlachectwo Jastrzębców Paprockich, warte szlachectwa Porajów.

— To za wiele!!

— Nie, nie za wiele! — odparł mecenas — prawda, senatorów w mojem imieniu nie naliczę ci, ale w dzielnicy naszej nie spisałby ich na wołowej skórze! W całej Polsce rozrodzony herb Jastrzębiec, dowodzi dawności swej i ojcem on połowy znamion do których podkowy wchodzi! Wiecie to?

— Nie, nie wiedziałem — pokornie odparł pan Atanazy, który się mieszał.

— Ojczyzną Paprockich Jastrzębców była *primitive* ziemia Dobrzyńska: sławny on Bartosz nasz, miał za sobą Kosobudzkę kasztelanę Sierpską wdowę po...

— Ale ja nie uwłaczam *nobilitati* imci panów Pa-prockich — przerwał rotmistrz: — wystawuję tylko, że nowym lustrem okryli by się, kolligując z staro-dawną rodziną Porajów, herbu Róża: wystawuję też tej kolligacji *beneficia*, przez wpływy i wielki kredyt jaśnie wielmożnego starosty.

— Ja bynajmniej temu nie przeczę, rotmistrzu, tylko bym chciał, abyś mi za wielką łaskę, nie okazywał kolligacji przez imci pannę kasztelanke, która wielce jest poważna i zacna osoba, ale nie pierwszej już pono młodości.

— Ale i wy też nie najmlodszy jesteście.

— Wiecie, że męczyzna do pięćdziesięciu lat w sa-mej sile?

— A kobieta — jękał się pan Atanazy.

— A kobieta, *decrescit* począwszy od dwudziestu.

— W miarę jednak lat waszych.

— Za stara — odparł mecenas. — Nie ożenie się nigdy ze starą! Po co bym się żenił, nie mając nawet nadziei potomstwa.

Rotmistrz dostawszy tak formalnego od kosza, a nie mając plenipotencji do rekomendowania starościanki, umilkł i dalej nie nalegał, skrobał się tylko w głowę, nie wiedząc jak to wrecz odmówienie, donieść potrafi starości, aby go nie obrazić i nie odebrać zupełnie nadziei przywiązania mecenasu.

— Z tak zacnego domu — dodał jeszcze, — choć wytrawną i dojrzałą niewiastę, nie oglądając się wziąć by można. A do tego pani Katarzyna jeszcze dziś piękna, i gdybyście widzieli ją dawniej! a! a!

— Ale ponieważ, to jest *Praeteritum plusquam perfectum*?

— No! no! jak chcecie! A może to i dobrze — odpowiedział rotmistrz — bo nużby starosta na to nie chciał zezwolić? On! taki dumny, tak dbały o podniesienie jeszcze gdyby można lustru imienia!

Mecenas się wykrzywił złośliwie.

— Niech będzie spokojny! nie naprę mu się panny Katarzyny, a nawet starościanki.



— A! co to, to już niepojęta! Zakrzyczał pan Atanazy, *flor incomparabilis*, róża w herbie Porajów i istna róża rozkwitła! I tej byś się waszmość nie naparł? Panie mnie skarż, jeżeli waszmości rozumiem.

— Nie lubię się kłaniać?

— I dla niej byś się waszmość nie pokłonił?

— Hm! dla niej! — I mecenas zamilkł.

— A widzicie, a widzicie, że to tylko przechwałki! Nasza panna Zuzanna królewicza warta, i gdyby królewicz nie był się zakochał wprzód. Kto wie! Sam starosta powiada, że nielepszy Korwin od Poraja —

— Kiedyż będziecie u starosty? dorzucił biorąc czapkę.

— Jabym sądził, że starosta będzie u mnie? wszak ci byłem u niego — rzekł mecenas.

— Gdy nie dla inszej racji, to aby zobaczyć starościanke, warto drugi raz Porajów odwiedzić!

— Cha! cha! tak myślicie?

— A starosta będzie u was niechybnie, i wielokroć go zaprosicie do siebie.

— Proszę go, ile razy mnie zaszczycić zechce.

— A sami tych dni będziecie w Porajowie?

— Jutro?

— Jutro na obiadek? Starosta nawet polecił mi prosić.

— Będzie mn służył.

Po tych słowach rozeszli się, i rotmistrz pomieszany, skłopotany, nie rad ze skutków poselstwa poruszony do żywego, wspaniałością i wystawą w Grabowym dworze widzianą — odjechał.

Maleparta z nśmicchem patrzył przez okno na niego, i w pochylonej głowie, wzdętych ustach, odgadywał zły humor posła.

— Szpakamiście karmieni, ale i mnie w ciemnię nie bito — rzekł w duchu. — Chcieliście mnie złapać, a nie wiem kto tu się złapio z nas dwojga! Prosić was nie będę, wy mnie sami poprosicie! Chcę tego, ale nie powiem że chcę: będziecie myśleli, że wam łaskę robię. Zuzanna będzie moją! Starostę kupię za kilka set dukatów, będzie mi służył na sejmikach i w Warszawie!

Tym sposobem zatrze się przeszłość, zapomni! zapomni!

I Maleparta powtarzał sto razy z wlepionemi dziko oczyma na ścianę: Zapomni! Właśnie w tej chwili musiał najbardziej czuć, że jemu tej przeszłości, zapomnieć, wyprzeć się, będzie niepodobna nigdy.

Maleparta szedł wielkimi ofiarami do tego celu. Chciał się oczyścić w oczach ludzi, odmienić do niepoznania, wbiedz w nowy świat, w którym był nieznanym i zostawić za sobą przeszłość całą, jakby się z nią żadnym nie łączył węzłem. Kosztowało jego skąpstwo i chciwość, wysypanie tylu pieniędzy, walczył z sobą, i wyrzucając je, tłumaczył sobie, że niemi kupuje zapomnienie wszystkiego.

Tymczasem, gdy mecenas przypatruje się swojej wspaniałości, cieszy się swym dworem, marzy, niepokoi, rotmistrz jedzie do Porajowa. ani już spoglądając na luzaka co mu tyle w początku swoją asystencją pochwlebiał. Ze spuszczoną głową, wjechał w bramę zamkową, milcząc, oddał bułanka w ręce masztalerza i smutnie wszedł na wielkie wschody. Starosta już go czekał we drzwiach swojej komnaty. Jakże po świecącym zbytku mecenasa, brudno się wydał rotmistrzowi, niedawno tak go zachwycający Porajów. Wszystko tu zdawało się padać i rozsypywać ze starości, zbutwieńia; sam starosta mniej poważny i wielki stanął mu w oczach.

— A cóż rotmistrzu?

— A cóż — z westchnieniem szepnął pan Atanazy: — to szatan nie człowiek.

— Albo co!

— Cała historia!

— Czegoś tak prędko powrócił?

— Nie było tam co robić.

— A juścić cię nie wypędził?

— Najpiękniej mnie przyjął.

— Czegożeś nos na kwintę spuścił?

— Traktaty nie udały się.

— No, opowiedzże mi wszystko, porządnie, bo niepełna cię rozumiem.



— Naprzód, masz jasnie wielmożny pan wiedzieć, rzekł rotmistrz, że to szatan nie człowiek. Co on zrobił we dwa tygodnie z siebie i Grabowego dworu, to nie do opisania.

— Cóż takiego?!

— Tać to wspaniałość królewska, złoto kapie, dwór jakby książęcy, karety, cugi, konie, barwy! galony! srebra, sprzęty od złota i kamieni!

— Co mu się stało?

— Ot, widać chce tak polować na szlachtę sejmiową, aby być wybranym.

— Bez mojej pomocy! zagrmiał starosta — to być nie może!

— Ale owszem, on tego nie powiada: tylko posłuchajcie chwilkę a wszystkiego się dowiecie. Naprzód, kiedym wjechał, tom do połowy przytomność z podziwienia stracił! Wspaniałość niesłychana, a wszystko co zobaczyć jak z igły, świeżuteńkie!

— Znać nowo zbogaconego! — wzgardliwie bąknął starosta.

— Tandem śliczności! Pokoje wybite adamaszkami, dywanami, kobiercami, zwierciadłami. Wyobraźcie sobie że jeden cały od stropu do podłogi w zwierciadle jednym, aż patrzeć nie można: a co sreber, co makat, co bogatych sprzętów!

— Dajcież mi pokój z tem opisaniem.

— Przyjmował mnie jak wielki pan. Musiałem oczekiwać rychło li się oblicze jego ukazać raczy! Tandem, serdecznie, ochotnie mnie przyjął. Ja tedy gdyśmy — po kielbasie napijma się — powiedziawszy, podweselili się odrobinę wyśmienitym węgryzmem, z daleka zajechałem niby żartując z ożenieniem. — A dobrze, powiada, jabym się ożenił. — Ja tedy znowu zreczniuteńko, nuż niby mu szukać narzeczonej i po długich circum lokucjach, z wielkiem wahaniem się i wątpliwością, ażaliby to przyjsć mogło do skutku, wystawiłem mu w dalekiej perspektywie, połączenie z przeznaczonym domem Porajów, przez jasnie wielmoż. kasztełankę. A on, panie, jak mi na to odpowie, sypiąc gdyby

gradem panegirykami swojego tam jakiegoś herbu i związków.

— A do trzysty! — zawołał starosta oburzony — ośmielił się równać!

— Ale nie, nie — rzekł rotmistrz mitygując: — tylko to było dla tego, żem ja zbyt wysoko postawił tę kolligację.

— Nie mogłeś jej postawić zbyt wysoko.

— Ale ja prawie niepodobną nazwał, dla wielkiego lustru familji jednej, a nikczemności drugiej, czem się widać szlachcic obraził.

— I cóż? — spytał starosta niecierpliwiąc się.

— A cóż! parsknął potem śmiechem niegodziasz i powiada: — albo ja szalony ze starą się żenić!

— Ośmielił się nazwać kasztelanek starą!

— Dalipan.

— A waćpan co na to?

— A cóż, zjadłem mydło i umilkłem: on potem zaczął perorować, jako się nigdy i nikomu klaniać nie lubi, i tu mu się wypsuęło, że nie tylko dla kasztelaneki, ale dla starościanki tego by nie uczynił!

— A to lajdak jakiś! — zakrzyczał w egzasperacji starosta.

— Posłuchajcież no tylko — przerwał rotmistrz: — jednak się zaraz zreflektował, i dodał: — Ot nie wiem, możebym się i pokłonił.

— Tak mówi?

— Wyrażnie, a w rozinowie z tem dał się słyszeć, że zapisy by uczynił, chociaż widać, na wielkie trudno go będzie wyciągnąć.

— Hm! hm! — mruknął starosta chodząc po izbie. — Prawda, że szatan nie człowiek. Byłem pewny, że mi się jeszcze za kasztelanek do ziemi pokłoni, a jemu się chce do imienia i młodości! Ptaszek, mości panie! Będę musiał, własną córkę poświęcić mu! Ależ przynajmniej, dowiedzieć by się pòtrzeba zkąd to wyszło i jak! Zkąd jemu tyle fortuny i to tak nagle, bo mówią że całe jej po rodzicach nie wziął, a po żonie tylko cząstkę.

— O tem to się dowiemy — rzekł rotmistrz: — essencja, aby go zwabić. Tak teraz podumniał, włożywszy karmazynowe hajdawary, że jnż myślał, iż mu jasnie wielmożny starosta winieneś odwiedziny.

— To sprawiedliwie! Był u mnie.

— Ale ja mu to wybiłem z głowy i powiedziałem, że prosim go do Porajowa na jutro.

— Ach! toś waćpan wielkie głupstwo zrobił!

— Jak to?

— Wiesz jak to trudno teraz o pieniądze, a tu potrzeba występować; jemu się teraz wyda...

— Aleć trzeba mu pokazać kogo się wyznacza, trzeba tandem zbliżyć, aby miał czas przejrzeć się, choćby w starościance.

— To prawda! — Starosta poskrobał się po nosie, ruszył ramionami. Czy co będzie, czy nie, a ostatki na to pójdą. Ruszajże rotmistrzu do miasteczka zaraz i postaw żydom egzekucją, aby pieniądze dali; a nie, to wszystkich do turmy.

— Kiedy się podobno nie należy?

— Jakto nie! Ja lepiej wiem, należy się — zawołał starosta! — Mogli oni Chrystusa Pana męczyć, niechże pokutują! Pieniądzy, a nie to do turmy! Należy się! Niedopłacili raty: ruszaj do miasteczka, a za żydem posłać, u którego są srebra w zastawie żeby z niemi przyjechał, jak ich teraz nie zobaczy, to gotów się domyślić. Ruszaj rotmistrzu.

Pan Atanazy pobiegł jak mógł najprędzej po wscho-  
dach, i już miał wyniść na ganek, gdy głos, który dla niego nigdy tak nie był słodkim, wstrzymał go.

— Cóż to tak spieszysz rotmistrzu?

Pan Atanazy zdjął czapkę i powitał kasztelanę, na ten raz uśmiechającą się wdzięcznie i szurnującą sine usteczka, po nad któremi czarniawy meszek od wiatru poruszany, melancholicznie się kołysał.

— A nie wstąpisz do mnie, na wódeczkę? — spytała pauna Katarzyna z najmilszym w świecie uśmiechem, gdyby mu odjąć było można, lat dwadzieścia.

— Hm! hm! — odpowiedział rotmistrz, nie mogący

pojąć tej szczególnej grzeczności, nigdy go nie spotykającej. — A czemuż nie, gdyby nie tak pilno, jaśnie wielmożny starosta posyła mnie.

— Ale możesz się napić rotmistrzu? — I panna Katarzyna otworzyła drzwi swojego pokoju, a pan Atanazy zawahawszy się, nie mając siły odmówić, wszedł.

Nim się znalazła flaszką, kieliszek i zakąska, panna Katarzyna, zaczęła rozpytywać ciekawie, z nienasyconem zajęciem o sąsiada, od którego wracał. Postrzegł rotmistrz i porozumiewawszy o co chodziło, postanowił wywdzięczyć się bolesnym ciosem, za tysiące przykrości, jakie mu nie raz, dziś tak słodka panna kasztelanka wyrządzała.

Niby rozczulony, zaczął się wynurzać.

— A wiecie — rzekł po cichu — z czem jeździłem do niego?

— Hm! Powiedzieć mi proszę, nic nie wiem a takam ciekawa.

— To bo się was nawet tycze!

— Mnie, na Boga! — I zaczerwieniła się ze skromności panna Katarzyna. — Cóż to?

— Starosta ma myśl.

— Jakaż, zmiłuj się.

— Chciał dać do zrozumienia — szepnął cicho rotmistrz temu pauu, że dla niego jedynem szczęściem byłoby wejść w kolligację z domem Porajów, tak wziętym, tak starożytnym, — tak...

— Ale cóż, rotmistrzu kochany?

— Tandem, polecił mi insynuować sąsiadowi, myśl połączenia z domem swoim, przez...

— Przez kogoż, zmiłujże się?

— Przez jaśnie wielmoż. kasztelanke.

— Przezemnie?

— Tak jest.

— I rotmistrz to powiedział.

— Powiedziałem.

— A cóż? zmiłujże się, cóż on na to? cóż odpowiedział.

— On — rzekł spuszczaając oczy rotmistrz i zabierając ze stolika ostatni piernika kawałek — powiedział...

— Cóż powiedział?

— Nie mogę przekonać! zaraz, zaraz — rzekł nie-  
litościwy rotmistrz.

— Ale bo wy mnie dręczycie.

— Za pozwoleniem — zreflektował się pan Atanazy  
przeknąwszy. — A nie powiecież nikomu? Starosta  
nakazał mi najgłębsze milczenie: nie powinienbym.

— Ale zmiłujże się! Jak Boga mego kocham, nie  
powiem nikomu, tylko powiedzcie. Cóż on na to?

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Powiedział, że się nigdy ze starą nie ożeni.

Panna Katarzyna usłyszawszy to, krzyknęła, cofnęła  
się, zmarszczyła brwi i zaczerwieniła się cała.

Rotmistrz uklonił się i wyszedł.

— Nie daruję mu tego — szepnęła trzęsąc się ka-  
sztelanka: nie daruję mu tego nigdy! I ten niegodziwy  
rotmistrz! Nie daruję im tego!

---

## ROZDZIAŁ VII.

Nazajutrz, z balkonu u zamkowej bramy, postrzegł stojący tam dla regulowania zegaru wieżowego rotmistrz, drogą od Grabowego dworu, ciągnący się długi poczet konnych, otaczający złocistą karekę. Poznał że to sąsiad jechał w odwiedzinach i zbiegł natychmiast, oznajmić o tem staroście. Już na przyjęcie wszystko było gotowem, nawet starościanka i kasztellanka po-ubierane były. Zdziwiło jednak nie pomału i starostę i Zuzię, że p. Katarzyna, którą spodziewali się widzieć wytwornie strojną, włożyła czarną suknię i nie wystąpiła z fryzurą, którą dla łada kogo przywdziewała. Oboje pojąć tego nie mogli i napróżno badali przyczyny. Jeden rotmistrz ją wiedział. W sercu kasztellanki paliła się zemsta, zastępująca zalotność i chęć przypodobania.

— Niechże pozna starą! powiedziała sobie. Ale na jej twarzy nie znać nie było; na pozór spokojna, wesoła, tylko dwakroć dumniejsza niż kiedy, poglądała z okien, na wjeżdżającego w tej chwili mecenasa; a gdy Zuzia i starosta zakrzyczeli z podziwienia nad jego wspaniałością, ona tylko usta skrzywiła wzgardliwie.

— Co to za śliczne konie! — zawołał starosta.

— Jaki piękny powóz! I po Warszawie by nim paradować można! — odezwała się Zuzia.

— A ludzie. Jacy strojni! jak wielu!

— Objedzą pana brata — dodała kasztellanka z przekąsem, nadrwią się dowoli i po wszystkim.

Kareta z turkotem zatoczyła się przed ganek i z pomocą sług, wyszedł z niej Maleparta, cały błyszczący, świecący, kapiący złotem, z karabellą kamerzowaną, w czapce z kitą i spinką djamentową,

w kontuszu granatowym złotemi sznury ubranym, w żupanie z lamy w kwiaty różowe. Stosowny pas lity, opasywał go kilkakroć i spadał od węzła grubego, w złocistej bogatej frendzli.

Nieco surowo, poważnie, ale zawsze uprzejmie bardzo, przywitał starosta nowo przybyłego. Nadto był oswojony z widokiem wspaniałości, aby okazać najmniejsze podziwienie, aby najłżejszą pochwałą, uradował gościa. Był to sposób pomszczenia się na nim, za chęć upokorzenia tym zbytkiem; i ile kroć rotmistrz egzaltował się nad czem, starosta udawał że nie słyszy, milczał, odwracał głowę, lub mówił o czem innem. P. Katarzyna też jakby nie widziała nic, tak wzgardliwie rzucała po ścianach oczyma; jedna Zuzia słodkie wejrzenie zwracała ku mecenasowi, i tem, jak łatwo zrozumieć, serce jego zjednała sobie. Przyjęty zimniej niż się spodziewał po pierwszych odwiedzinach o drugich wróżąc, wdzięczony był p. Zuzannie, za wejrzenie i uśmiech łaskawszy. Starosta dawał uczuć Maleparcie, że przesadzając go wystawą; bogactwy przechodząc, daleko jeszcze niżej stał od niego. Co chwila mówił o swoich stosunkach, o rodzie swoim, cytował powinowate sobie pierwsze domy Polski, Litwy i Rusi, i nmyślnie zawiódłszy rozmowę, na bogatych, wymienił kilku bankierów warszawskich, kilku kupców i t. p. co niezmiernie posiadali fortuny. Mówił zaś o nich, jako o ludziach, których by na przedpokoju królewskim nie przyjęto.

Ostatnia część rozmowy, ubodła srodze mecenasa; ale z wesolą twarzą zniósł zadaną ranę i okazał się do końca wesolym, uadskakującym, pełnym grzeczności, mianowicie dla p. Zuzanny. P. Katarzyna bladła z gniewu spoglądając niby w inną stronę, a widząc wszystko jednakże. W sercu jej wrzała zemsta i gniew niepohamowany. Poznasz ty starą! — wołała, poznasz ją!

Po obiedzie zapraszając do siebie starostę nazajutrz, wyruszył mecenas do domu nie kontent w duszy, upokorzony, ale pelen najpiękniejszych nadziei, że się wszystko ułoży. Porozumiał się już był u starosty, o sejmikowe sprawy, i miał obiecaną wszelką pomoc.



Miano o tem wszakże, później pomówić.

Starosta, nie mając nadziei przesadzić w zbytku mecenasa, chciał go teraz poniżyć, swoją dumną pokorą i skromnością. <sup>1</sup> ojechał do Grabowego dworu, niewielką kolaską, sam z rotmistrzem i dwoma ludźmi tylko. Znaczyło to: Nie mam potrzeby wysadzać się do wasześci, podziękuj że i tak cię odwiedzam. — Na sobie miał kontusz stary tabaczkowy i atlasowy wytarty żupanik, niegdyś karmazynowy, prostą karabelę u pasa; ludzie w codziennej barwie, i rotmistrzowi nawet zabroniono co innego wziąć nad powszednie ubranie.

Maleparta przyjął starostę na ganku, zdając się wielce mu być obowiązany, za cześć wyrządzoną jego domowi, przybyciem dostojnego gościa. Dostojny gość ze swej strony, pokazywał minę dumną jakby łaskę czynił szlachcicowi. Przyjęcie było jak się spodziewać można szumne, obiad wyśmienity i nieskończenie długi, wina wyborne. Powtarzane zdrowia i kielichy, dopiero rozechmurzyły czoło starosty, dotąd zmarszczone. Zaczął się uśmiechać mnskając wąsa, milej i weselej poglądać.

— Dalipan — ozwał się — Aspaneś tu sobie rezydencją pańską urządził i to tak przedziutęko! Jak z bicia trzasł. To dziwna! Ledwie poznał Grabowy dwór, bo to było opuszczone, zakłapane za dawnego dziedzica! A teraz, dalipan, wyśmienicie. Mianowicie mi się podobają kobierce! Moja córka dawno sobie życzy mieć choć jeden do swojej komnatki, ale u Greka w Warszawie nie mogłem nic pięknego dla niej wybrać.

— Jeżeli pozwolicie — rzekł Maleparta, — posłę starościance, co mam najpiękniejszego. — Starosta dumnie spojrzał, jakby się pytał. Myślisz że przyjmiemy? A głośno dodał:

— O! bardzo wam dziękuję, zamówiłem dla niej przepyszny kobierzec w Warszawie.

Maleparta umilkł i odszedł, mrngając na rotmistrza; a gdy starosta przyglądał się to dywanom, to dziedzińcowi przez okna; mecenas odwiódłszy p. Atanazego, odezwał się do niego:

— Słuchajcie, rotmistrzu, użyć was chcę do jednej traktacji, mam prośbę —

— Całem sercem, co rozkażecie?

— Otwarcie i szczerze, mam intencją prosić starostę o rękę jego córki, wyrozumiejcie czy co z tego być może, abym posunawszy się wstydu nie miał. Jeżeli on uczyni nadzieję, pocznę bywać w Porajowie w tym celu.

Rotmistrz wąsy spuścił, oczy podniósł.

— A jeżeli się to uda — dodał Maleparta — sto czerwonych złotych i koń z mojej stajni do wyboru dla waszmości.

— Lice się rozjaśniało p. Atanazemu i za kolano uściskał. Wrócili do pokoju. A gdy Maleparta, gdzieś się na chwilę wymknął, rotmistrz zdał sprawę z poselstwa staroście.

— O tem potem. — Była cała odpowiedź. — A jeżeli można daj mu do zrozumienia, że łatwiej byłoby o kasztellankę.

— I on nie chce i kasztellanka dała się z tem słyszeć, że nigdyby za niego nie poszła.

— Kiedy?

— Wczoraj to mówiła publicznie.

— Damy mu odpowiedź później.

Znowu tedy wzięto się ówczesnym obyczajem za kielichy, bo niespoiony nie uważał się za ugoszczonego pod panowaniem Sasów. Pić było potrzeba koniecznie, czy się chciało lub nie.

Starosta nie odtrącał kielicha a i rotmistrz nie dał sobie łać za kołnierz: wyjechali zmrokiem podpili i drzemiały obydwaj; ludzie także nie całkiem trzeźwi, bo się raczyli z czeladzią, gdyż wyraźny rozkaz mecenasa, przepisał ten traktament.

Nazajutrz dopiero, posłano z odpowiedzią list rotmistrza. Nie sam go pisał pan Bryndza, ale wspólnie ze starostą, ćwiczoną w to szermierstwo wyrazów, i umiejącą w potrzebie, napisać tak aby na dwie strony można było tłómaczyć. List ten zimny, grzeczny, pelen form i łacińskich zwrotów używanych w korespondencji, powiadał tylko mecenasowi, że mógł bywać

w Porajowie, ale nic nadal nie obiecywał, a raczej przestrzegał, że odwiedziny mogą spełznąć na niczem.

W skutek listu mecnas począł dojeżdżać do Porajowa coraz częściej, i bardzo wyraźnie konkurować o pannę starościankę, czego starosta zdawał się nie uważać. Kasztellanka za to widziała doskonale o co chodziło i starała się przeszkadzać ile możliwości, a że mniej więcej pod jej dependencją zostawała panna Zuzanna, nikt wzbronić nie mógł, ciągle jej assystować. P Katarzyna nieodstępna, nieubłagane każdy krok śledząca, każde słowo tłumaczyła fałszywie i psuła szyki mecnasowi, wygadując na niego niestworzone rzeczy przed bratem, i jątrząc Zuzię.

Pannie Zuzannie, nie chodziło wcale o miłość Maloparty, o którą najmniej dbała, ale o za mąż pójście tylko. Pomimo przeszkód nieubłaganej ciotki, pomimo jej szyderstw, Zuzia zawsze jak najśłodziej witała konkurenta, przyjmowała go najmiłej i czyniła mu ze swej strony wszelkie sukcesów nadzieje. Starosta zawsze udawał że nic nie widzi; a p. Katarzynę usiłującą go oświecić, objaśnić, źle przyjmował, upierając się, że miała przywidzenia fałszywe i nic więcej.

Tak się to wszystko ciągnęło dość długo, tymczasem nadeszły sejmiki i Maloparta serjo mówić zaczął o swojej kandydacji na posła.

Starosta, zawsze jak przez szczypce przez rotmistrza działający, zobowiązał się podtrzymać kandydata, ale wymagał na koszt, dla rozsypania między szlachtą i ujęcia potrzebnych, najmniej tysiąca czerwonych złotych. Mecnas obiecał je wyliczyć. Nastąpiły sejmiki i starosta zgromadziwszy swoich partyzantów w wielkiej liczbie, z kuchnią, piwnicą i niezmierną czeredą obszarpańców, pojechał na nie. Mecnas ze swojej strony, cały dwór zabrawszy, pociągnął za nim. Na wstępie zaraz w kościele gdzie się sejmik odbywał, drzwi główne i zakrystji osadzono swojemi, aby nie wpuszczali przeciwników; opanowano stolik i piśro, a choć wrzawa była wielka, szable się podniosły nie raz, przecież p. Jan Aleksander Paprocki posłem wybrany został. Tegoż

dnia resztę, spędzono na pijatyce u niego, która trwała do następnego rana, a nazajutrz przeniosła się kosztem Maleparty i jego winem, do kwatery starosty.

Nowo wybrany, ośmielony tem, przez rotmistrza postanowił staroście definitive się oświadczyć i prosić o rękę córki. Pan Atanazy pamiętając na przyrzeczone mu sto czerwonych złotych, podjął się pośrednictwa. Starosta ujęty tysiącem dukatów, które już leżały w szkatułce, odpowiedział, że chce sam mówić z panem posłem.

Na wieczór mieli się zejść sam na sam, a choć Maleparta, wszelką sukcesu karmił nadzieję; choć mu rotmistrz dodawał ducha; wspomniawszy dumę starosty, a swoją przeszłość, niebardzo był skokojny. O wyznaczonej godzinie, starosta czekał z surową twarzą stojąc u okna, sam jeden. Wszedł pan poseł — powitali się zimno i obydwu pomieszani widocznie. Usiedli przeciw sobie, milczeli, nareszcie Maleparta odezwał się:

— Pan rotmistrz uproszony odemnie, zapewne opowiedział JW. staroście, z jaką do niego dziś prośbą przychodzę? Będąc niejako upoważniony do nadziei —

— Ja wielmożnego pana do niczego nie upoważniłem — zawołał starosta szybko; — protestuję się żem się żadną dotąd obietnicą nie związał.

— Czekam więc na otwarte odmówienie, lub przyrzeczenie — krótko dodał poseł.

— Pozwólcie, abym wprzód wzajemne nasze położenie wyświecił — rzekł starosta. Nie obrażajcie się niczem i nic mi za złe nie miejcie.

Maleparta głową poruszył — on dalej mówił:

— Jakkolwiek trzymam najlepiej o szlachectwie starodawnem wielmożnego pana i o domu ich całym, pozwolisz sobie powiedzieć, że między mną i domem moim a nim, jest przedział wielki. Gdybym zezwolił na ofiarę imienia i połączenie z nim, zamiast jedyne dziecko wprowadzić w dom zacny, wwiódłbym w nieznane nazwisko i zagasił świetne pochodzenie ostatniej dziedziczki klejnotu naszego, zaprzędając ją niejako. Mogę się połączyć przez nią z najpierwszemi domy, dość mi na posag, herbu naszego. Zważ wielmożny

pan, jakąbym uczynić musiał ofiarę, dając mu córkę moją?

Maleparta poczerwieniał, biło mu serce z upokorzenia i gniewu, ale słuchał do końca cierpliwie.

— Temu wszystkiemu niezaprzeczycie, rzekł starosta a zatem, powiedzcież mi otwarcie, ofiarę za ofiarę, co dla mnie i dla córki mojej uczynić zamysławicie?

Tu już tak wyraźny poczynął się targ, że Maleparta nadzieję odzyskał, i postanowił tylko, jak najmniej dać się obedrzyć. Połączenia zaś z Porajami życzył, bo ono go wiodziło w świat inny, i dawało expectancy honorów, których starosta w interesie własnej dumy, dla zięcia powinien się być starać.

— Podając warunki, odezwał się, mógłbym niemi, mimowolnie obrazić JW. starostę, nieumiejąc wyrachować ofiary jaką mi JW. pan czynisz, nie potrafię ocenić kompensacji stósownej. Oczekuję więc ultimatum z ust jego.

— Nie targuję się przecie o moję córkę — dumnie odparł starosta — i woli jej w niczem gwałcić nie chcę, za pierwszy kładnąc warunek, zezwolenie własne; czekam od wielmożnego pana propozycji.

— Powtarzam, że nie śmiem jej uczynić.

— Proszę o nią.

— Starając się o połączenie z domem pańskim, cenię je nadto, i lękam się utracić, abym ryzykował powieździeć, czego potem poprawić nie wypada, ani się godzi. Lepiej jest, abyś mi JW. starosta otwarcie wyrzekł, czego po mnie wymagasz?

— Wielmożny pan jesteś uparty, dziwnie uparty.

— Powiedzcie ostrożny — mruknął Maleparta.

— Ależ przecie — rzekł starosta. Jeżeli warunki wasze nie przypadną dla mnie to je poprawim.

— Nie obrazicie się mojemu, jeżeli się wam za mało znaczne wydadzą?

— Bynajmniej.

Gdy się tak certują oba wzajemnie, pierwsze słowo zrzucając na siebie, jeden myślał, że wygra, gdy nie powie, drugi że zyska, gdy zda się na tamtego. Starosta sądził że Maleparta może dać więcej, niżby on

śmiały żądać; mecenas że starosta mniej zażąda niż on dać myślał. Nareszcie przymuszony do uczynienia propozycji, Maleparta odezwał się głosem stłumionym, po pewnym czasie przeciągu.

— Odpisuję żonie mojej przyszłej, oprawę równającą sumie posagowej.

— Cały Porajów po mojej śmierci, lekko go liczyć na miljon, teraz dać nic nie mogę, znajdzie się po mnie.

— Mecenas skrzywił się nieznacznie i zamarszczył.

— Nie cofam słowa, rzekł, ale pozwólcie sobie uczynić uwagę, że długi umniejszą szacunek fortuny.

— Splacam je i splacę — krótko odparł starosta :  
— dalej co ?

— Na wieczność zapisuję żonie Grabowy dwór z przyległościami.

— Hm ! to dość pięknie — rzekł starosta i nie miałbym nic do powiedzenia na to gdyby nie pewne okoliczności. A w razie bezpotomnego zejścia wielmożnego pana ?

— Dożywocie na całym majątku.

— Tylko ? — spytał starosta.

— Czegóż byście chcieli więcej ?

— Zapisu wieczystego całej fortuny.

Mecenas ogromne oczy otworzył.

— Chcielibyście więc wziąć wszystko ? —

— Po waszem najdłuższem życiu, łaskawy panie : Zuzia może się spodziewać zawsze dłuższego od was życia *si Deo placet*, poświęca swoją młodość, imię, dla wielmożnego pana, czemużby ojciec dla niej nie miał myśleć o wynagrodzeniu ?

— Zapis ten — po chwilce wyrzekł Maleparta — na wypadek zejścia bezpotomnego, uczynię. Nie mam krewnych, a nie mając dzieci, to mi wszystko jedno, dożywocie sobie waruję.

— Ale to naturalnie ! — zawołał uradowany starosta, widząc że mu idzie jak z płatka. — Tylko jeszcze słowo.

— Słucham, co mi rozkażecie.

— Na moje interesa, potrzeba mi kilku tysięcy czerwonych złotych sposobem pożyczki, mam nadzieję, że mi ich nie odmówicie.



- Wiele ich będzie potrzeba?
- Sądzę że pięć wystarczy.
- Wyliczę je chętnie.

Po tych słowach, zmięczony tak niespodzianą ła-  
twością pana posła, starosta wyciągnął rękę nieutrzy-  
mując swej radości i rzekł:

— A zatem, macie moje słowo, jedziemy razem do  
Porajowa i tam oświadczycie się solennie, poczem nastą-  
pią zaręczyny wasze.

Maleparta uściśnął starostę, ale zimno i nieokazując  
żadnego ukontentowania, okupił on ogromnemi ofiarami  
swoje przyszłe ożenienie, zawarte przez próżność i dumę.  
Pocieszał się w duszy, że raz ożeniwszy, potrafi wszy-  
stko jak zechce przerobić, i tylko te pięć tysięcy czer-  
wonych złotych, uważał za zupełnie stracone, które  
przyrzekł dać staroście, reszty był pewien że odzyska.  
Tak się rozeszli, pomówiwszy jeszcze o interesach  
i tając oba przed sobą najważniejsze, gdy się na pozór  
bardzo serdecznie wynurzali. W kilka dni potem, upa-  
kowano kuchnie i piwnice i oba ruszyli do Porajowa.

---



## ROZDZIAŁ VIII.

Rankiem wszedł starosta do pokoju córki, która zamysłona siedziała u okna i patrzyła w ogród; naprzeciw niej chmurna, zmarszczona, z zaognionemi oczyma oparła się o stół w milczeniu kasztellanka. Powiedziała sobie „Dzień dobry“ siedziały tak obie od godziny, przerywając ciszę to westchnieniem, to poruszeniem niecierpliwości. Starosta wczoraj dopiero powrócił z sejmiku, cały był promieniejący radością, czoło wypogodzone, wąs do góry, czupryna wzniesiona, oczy śmiejące się.

Córka przybiegła pocałować go w rękę i stanęła przy oknie, panna Katarzyna pozdrowiła brata skinieniem głowy tylko i miną posępną.

— Aspanua — odezwał się śmiejąc starosta do Zuzi — zapomniaś coś o ojen. Nie przyszłaś mi dać dzień dobry, wiedząc że powróciłem wczoraj.

— Rotmistrz mi powiedział że wejść nie można, bo ojciec zajęty.

— Ale waćpanna masz swoje przywileje. — To mówiąc przybliżył się, pocałował ją w głowę, temi niezwykłemi objawieniami ojcowskiej swojej czułości starając się przygotować córkę do nowiny, którą wedle niego nie bardzo radośnie przyjąć miała. Starosta ślepy, gdzie nie chodziło o sejmikowe subtelności, nie znał zupełnie swojej córki.

— No, odezwał się po chwili, masz przecie waćpanna konkurenta, który mi się dla niej oświadczył z sentymentem.

Zuzia zapłonęła cała, bo się domyśliła, rzuciła ukradkiem zwycięzki wzrok na ciotkę, a panna Katarzyna podskoczyła na kanapie.

— Nie myślisz ją przecie wydawać bracie — zawołała — młoda, trzpiot, gdzie jej iść za mąż! Przyznam ci się, że nigdybym za tem nie była.

— I ja bym nie był za tem — powolnie odpowiedział starosta — gdyby nie szczególne okoliczności.

— A cóż to mogą być za okoliczności?

— Uznasz sama kochana sestro, że się codzień coś podobnego trafić nie może i że należy korzystać z tego co Pan Bog daje dla Zuzi. Tyleśmy lat szukali jej męża po Warszawie, a nigdy się nic podobnego nie trafiło.

— Ale cóż to. to chyba książę niemiecki! — zawołała Katarzyna.

— Lepiej niż goly książę niemiecki, bo bogaty szlachejura polski.

— No! i któż to taki?

— Pan Paprocki!

Zuzia poczerwieniała, pana Katarzyna pobladła, rzuciła się z gniewem i niedając bratu dokończyć, zawołała:

— I waćpan, panie bracie, do tyła się poniżysz, że na to pozwolisz?! Niewiedzieć kto! jakiś jurysta! może nie szlacheć nawet! Jakiś dorobkowiec, co Bóg wie jak przyszedł do fortuny, łączyć się z nami, ożenić się z twoją córką! A! starosto! myśli tej nawet przypuścić nie mogę.

— Co się tycze tego, kochana sestro — odparł błędniejąc starosta — pozwolisz, że do mnie, jako do głowy familji, piecza o jej dobre imie należy, a nie do kogo innego. Wiem co i dla czego czynię.

— Aleś pan brat dał się uwieść temu pieczeniarkowi rotmistrzowi.

— Nikomu nie daję ucha, dowód tego że i rodzona siostra nie na mnie przeciw mej woli nie wymoże.

— Więc waćpan dałeś mu już słowo?

— Nie dałem ale dam, jeżeli Zuzia się na to zgodzi dobrowolnie, a po jej rozsądku i przywiązaniu do mnie spodziewam się, że chce zdać wszystko na moją uwagę i postanowienie. Nieprawdaż?

Starościanka podniosła głowę i całując ojca w rękę odpowiedziała:

— Stosuję się chętnie do woli jegomości i posłuszną mu będę.

— Bez niechęci i przymusu?

— Z radością — cicho dodała Zuzia.

— Otóż to kochane moje dziecko!

To mówiąc starosta począł ją ścisnąć i całować, a panna Katarzyna nie mogąc się utrzymać, ciągle rzucała, coś mówiąc do siebie, nareszcie zawołała na brata:

— Ale waćpan nie zechcesz tak jedyne dziecko oddać na łup człowiekowi, którego nie znasz, o którym nie nie wiesz! Splamisz się w oczach wszystkich taką kolligacją.

— Moja pani siostró — odrzekł starosta — nie tak nie plami imienia jak niedostatek co na niem ciąży. Pod dobremi aliansami podnoszą się, nie upadają familje. Pan Paprocki jest bogaty.

— Ale cóż nam z tego?

— Właśnie, posłuchaj waćpanna co chce zrobić dla Zuzi.

— Waćpan już się z nim targował?! — zawołała panna Katarzyna — to ohydnie.

— Moja panno — zakrzyczał starosta głosem, którego jeszcze nigdy nie słyszała panna Katarzyna, a na który struchlała — ukróć język i pamiętaj że jesteś kobietą, której nie mam potrzeby zdawać sprawy z moich czynności. Mówię do córki, nie do was, nie pytam o rady, bo ich nie potrzebuję. Sam mi podał kondycje, anim ich przyjmował, ani odrzucił, teraz Zuzia się godzi i ja się na nie godzę. Tobie moja córko — rzekł obracając się do niej — zapisuje klucz Grabowy i oprawę, to jest miljon złotych, nie biorąc posagu. Dożywocie na dobrach całych, a w razie bezpotomnego zejścia, wieczyście oddaje całą fortunę.

Zuzia jeszcze żywszym rumieńcem spłonęła, Katarzyna pobladała, zacisnęła usta, zatrzesła się; starosta tryumfował.

— A cóż, kontenta jesteś? dodał — a to jeszcze nie wszystko, daje mi pożyczonym sposobem natychmiast pięć tysięcy czerwonych złotych. Rozumie się

że teraz możemy i musimy jechać do Warszawy.

— I waćpan — przerwała znowu siostra — dla miżernych pieniędzy sprzedajesz dziecko swoje?

Staroście powtórę zmieniła się fizjonomia okropnie, wykrzywił usta, posiniał, zadrgały mu ręce i krwią nabiegały oczy.

— Siostro! — zakrzyczał — ty mnie nie znasz, gdy śmiesz tak mówić, jutro może nie będziesz miała gdzie skryć się! Jesteś na mojej łasce, a ja nie zniosę obelg.

— Nie na twojej łasce, panie bracie, nie na twojej, mam swoje, któregoś zagrabił, zniszczył, zmarnował! Oddaj mi moje, a pójdę do klasztoru i noga tu moja nie postanie.

— Waćpanna bez mojej woli nie rozrządzasz sobą.

— Ale upamiętajże się starosto — zawołała panna Katarzyna, — nie o mnie tu chodzi, choć mnie wprzód dawałeś na pastwę jemu, a szczęściem odrzucił twoją propozycję.

— Zkąd to wiesz?

— Od rotmistrza.

— Infamis! Noga tu jego nie postanie.

— Tu chodzi o twoje dziecko.

— Ja więc wiem lepiej co mu dobrem; a gdy ona się zgadza.

— Wy nic nie wiecie!

— Cóż ty wiesz?

— Co wiem? Wiem to, co żebyś ty posłyszał, włosy by ci powstały na głowie, krew by ci się w żyłach ścięła. Ten człowiek to największy łotr, to... Ale nie chcę mówić, nie mam dowodów, powiedziałbyś żem zmyśliła to wszystko. Dowiesz się gdy będzie może zapóźno; rób co chcesz! rób co chcesz.

Tych słów domawiając panna Katarzyna gwałtownie wstała, wyszła i drzwi zatrzasnęła za sobą. Starosta został przerażony, blady, gniewny i posłał spiesźnie po rotmistrza. Chciał go zaraz wypędzić, ale w tej chwili przyszło mu na myśl, że on jeden potrafi dojechawszy do Lublina, dowiedzieć się co o Maleparcie. Zawiesił więc wygnanie go aż do powrotu i innej

zręczności, a teraz oczekiwał niespokojny.

Zuzia blada i poruszona stała nieruchoma w jednym miejscu.

Rotmistrz wszedł nareszcie a starosta napadł na niego z góry.

— Waćpan masz język babi, i wyszczekałeś, wyplotłeś.

— Ja! ja?

— Waćpan powiedziałeś pannie Katarzynie, że ją chciał wydać za tego — za tego...

— Za kogo?

— Za Paprockiego.

— Ja! ja nic nie mówiłem.

— Ona powiada — ona tylko co — staroście słowa w ustach od gniewu się dusiły. — Waćpan wiesz co o tym człowieku?

— Ja? o kim? ja nic nie wiem!

— O nim! Waćpan nic złego nie wiesz?

— A skądżebym miał wiedzieć?

— Kasztelanka utrzymuje, że wie o nim okropne rzeczy, któreby nasz projekt zerwać mogły, wie, niepojmuję żąd, ale niechce ich mówić. Waćpan natychmiast pojedziesz do Lublina i postarasz mi się dowiedzieć całe *curriculum vitae* tego człowieka. Jedź zaraz, wracaj prędko, dzień naznaczony na publiczną deklarację i zaręczyny blizkie. Przebaczę waćpanu tę plotkę, jeśli mi się dobrze sprawisz. Pospieszaj. Czego stoisz?

— Pieniedzy na droge.

— Zuzia pobiegła do szufladki i wyjęła z niej woreczek, którego włożyła w rękę rotmistrzowi, szepcząc mu do ucha:

— Donieś o tem jemu; wstąp do niego. A jeśli się co złego dowiesz, zmilcz, ja się niczego nie boję.

Rotmistrz spojrzał wielkimi oczyma i w milczeniu poszedł kazać siodłać konia. Od niejakiego czasu zapomniał regulować zegarów i zaglądać do psiarni, w takim był ruchu nieustannym. Zaczynało mu się to przykrzyć i wdychał.

— Ta panna Katarzyna, kiedy się kogo uczepli, nie

dobra na nieprzyjaciela. Niech ją kaci, jak ona prześladowuje! Zkąd ona wie? Co ona wie? To niepojęta dla mnie rzecz. Zjadę do pana posła i dowiem się od niego co mam dalej począć.

Tak myśląc a nie tracąc z pamięci, że jeźliby doszło ożenienie z panną starościanką, obiecanych miał sto czerwonych złotych i najlepszego konia ze stajni, pospieszył po drodze do Grabowego dworu.

Ujrawszy go Maleparta, powitał wesołym wykrzykiem:

— O! pewnieś się o swoje przyjechał dopomnieć, żeś nie zapomniał.

— A! wcale nie za tem przyjechałem — rzekł skrobiąc się w głowę rotmistrz. — Nie mam do tego prawa.

— Jak to? cóż to? — niespokojnie spytał Maleparta.

— Ot to, że gdzie djabeł nie może tam babę posła, ucięła nam figla porządnego.

— Kto taki? jakiego figla?

— A nie kto, tylko panna Katarzyna.

— Cóż się stało? — Maleparta pobladł.

— Ja nie wiem za co zła na jegomości, pewnie żeś nie z nią się chciał żenić, nie wiem zkąd jakichś plotek strasznych nabrała i staroście doniosła o nim — *horribilia*.

— Ale cóż takiego?

— Nie wiem, nie byłem przytem, ale coś straszne-go; starosta był czerwony i siny i blady na przemiany, chwytął się za głowę, drżał, o mało mnie nie wypędził z domu i nareszcie kazał *stante pede* siadać na koń i ruszać za językiem do Lublina.

Panna Zuzanna szepnęła mi, abym jegomości o tem oznajmił.

— Ona! — zawołał Maleparta.

— Tak, ona sama *in persóna*, i dała mi nawet pieniędzy na drogę.

Mecenas pokiwał dziwnie głową, tak mu to niespodziewanie przychodziło, i tem więcej uczuł bólu na myśl rozerwania tak pożądanego związku.

— Cóż tu robić? muszę jechać do Lublina.



— To jedź — odparł pan poseł żywo; — ale pamiętaj, że masz do wyboru albo swoje sto czerwonych złotych z czubem, albo nic, lub gorzej niż nic.

— Tać to ja i sam porachowałem. A jak się co złego dowiem?

— Po kiegoż licha będziesz się dowiadywał? O każdym człowieku znajdzie się do powiedzenia co złego, o mnie tem więcej, bo będąc prawnikiem, (z czem się nie taję), musiałem chcąc niechcąc wielu sobie narazić. Jedź waćpan do Lublina i przez trzy dni siedź w gospodzie, jedz, pij, odpoczywaj, spij, nie dowiaduj się nic, bo się nic nie dowiesz, a powróciwszy będziesz mógł przysiadz, żeś nic nie słyszał. Żeby ci zaś droga nie tyle dojadła i mógł sobie dogodzić, oto masz kilkanaście dukatów. Starościanka wiele ci dać nie mogła. Powracając wstąp do mnie.

— A teraz, to wszystko dobrze — odparł klaniając się rotmistrz — alebym się napił do strzemia.

— A pij wiele chcesz.

Podali wino, i pan Atanazy zalewając sumienie, które w nim belkotało coś niewyraźnie, wychylił spore dwa kielichy, otarł wąsy i pożegnał Malepartę.

Nowo obrany poseł niespokojny pozostał sam jeden, ten wypadek tłumem mu myśli napędził do głowy.

— Wszystko za nic, jeżeli się czegoś dowiedzą! Ale jak dowiedzieć się mają, kiedy rotmistrza na zwiaady posłali. Dobrzem zrobił, że mu tych sto obiecał. Możeż mnie zdradzić nie zdradzając siebie? Ta kobieta, zkaż ona wie? co ona wie? Pewnie pojedynek z panem Stanisławem, pewnie coś o Rózi, albo... — I gubił się w domysłach. bo było się czego domyślać! — O zasadzce jednej nic wiedzieć nie mogą — rzekł uspokajając się — a to najgorsza: tego nikt nie powie. Z innych rzeczy mógłbym się nawet wytłómaczyć. Będzie co ma być!

Jednakże przez tych parę tygodni, które trwała podróż rotmistrza, ciągle był niespokojny, i wszelkie występkę, wszystkie niegodziwości dawne z kolei stawały mu na myśli. Parę razy był u starosty, który go nad-



zwyczaj zimno przyjął, nie jednak o przyczynie nie powiadając. Zuzanna była uśmiechająca się jak zawsze, panna Katarzyna całkiem się nie ukazywała. Od ostatniej kłótni z bratem, nie chodziła nawet do stołu i cały dzień przepędzała w swoim pokoju, Zuzię zaś odwiedzającą przyjmowała milczeniem upartem i wzgardliwym. Raz tylko spróbowała mówić i zaczęła od tego, że jej żal było siostrzenicy, którą zaprzedać miano; ale figlarny uśmiech starościanki zamknął jej usta.

— Róbcie co chcecie — dodała — zrobiłam com była powinna, reszta do was należy. Z panem Bogiem!

Rotmistrz jak nie wracał, tak nie wracał, a starosta widząc zbliżający się termin, poczynął się niecierpliwić. Nareszcie po upływie dwóch tygodni, zjawił się naprzód u Maleparty.

Mecenas zmierzył go okiem badającym, i łatwo odkrył z pomieszczonej, bladej, wylekłej twarzy pana Atanazego, że ten nie spoczywał w Lublinie, ale się czegoś dowiadywać musiał. Spojrzenie rotmistrza, jakieś pomieszanie, bojaźń, wydawały go, choć się nie przyznawał aby wiedział cokolwiek. Mecenas mało dbał o to, czy wiedział, a milczenie miał sobie zapewnione obietnicą stu czerwonych złotych. Znał on na wylot rotmistrza, jednak chmurnem i grożącym wejrzeniem pożegnał odjeżdżającego, jakby doń mówił:

— Znasz mnie, strzeż-że się!

W istocie pan Atanazy, nie mogąc usiedzieć trzech dni w gospodzie, począł powoli gawędać, to z tym to z owym, pociągnął się na wino, porobił z palestrą znajomości i posłyszał o Maleparcie wszystko co dowiedzieć się było można. Opowiedział mu Prozorowicz, pan Bartosz Paprocki i inni całe życie i wszystkie wypadki Maleparty, jego ożenienie z Rózią, postępek dawniejszy z wdową po Przepiórkowskim, pojedynek z panem Stanisławem, proces z krownemi, z starostą Wilskim i t. d. Nawet Naścię pijaną pokazano mu na ulicy.

Rotmistrz zmiarkowawszy co to za człowiek, był w wielce delikatnem położeniu, mając do wyboru, albo stracić u starosty przyporzysko ostatnie i może dostać

coś na wyjeździe, gdyby się później o tem dowiedział; albo pożegnać się ze stu dukatami i pięknym koniem, czego lekko na drugie tyle szacować było można. Walczył z sobą całą drogę, bo z jednej strony mówiło sumienie, z drugiej chciwość. Biedak przez całe życie nie miał nigdy razem stu czerwonych złotych i nważał je za znaczny kapitał; jak mógł więc przyduszał w sobie głos sumienia, perswadując że to wszystko przesadzone być muszą rzeczy i postanawiając zataić co wiedział.

Zaledwie się zjawil w dziedzińcu Porajowskiego zamku, i starosta i panna Zuzanna i od dawna nie widziana pana Katarzyna wyszli przeciw niemu. Starosta niepokoił się równie z córką, a panna Katarzyna spodziewała się pewnego zwycięstwa. Od szlachcica, który znał Malepartę w Lublinie i wiedział o nim wiele, dowiedziała się była po cichu połowy tej historii i wierzyła jej najmocniej, i pewna była, że doniesienia rotmistrza potwierdzą wszystko a związek ten rozerwa.

Rotmistrz po schyleniu się do kolan starosty, nie bez pomieszania i bełkotania, z niezmierną radością ojca i córki a gniewem ciotki powiedział: że w ogólności nic prawie o Maleparcie nie słyszał takiego, co by go czyniło niegodnym ręki panny starościarki, jeżeli ojciec uznał go tego zaszczytu dostojnym.

— Informowałem się — dodał — w palestrze, u towarzyszów niegdyś pana mecenasa, gdyż i on sam i ludzie godzą się na to że był jurystą.

— To nie — przerwał starosta.

— To nie — zawołała Zózia.

— Powiadają wprawdzie, że z ubogiego chłopięcia wyszedł na człowieka.

— Jakby to mogło być, gdyby pocziwie zbierał? — zawołała panna Katarzyna.

— Był wielce wziętym w Lublinie i opłacano go niezmiernie, nabywał majątki z procesami i tak doszedł fortuny.

— A toż szlachetnie? — przerwała znowu kasztelanka.

— Dajcie pokój siostrze; mów rotmistrzu.

— Potem ożenienie go zbogaciło i choć żona zdra-

dzila, uciekla, on ja przyjal nazad do domu, za co zawdzięczając uczynila mu zapis.

— Poczciwy, dalipan poczciwy człowiek! — krzyknął starosta.

— Zresztą — dodał rotmistrz — plotą tam o nim banialuki, ale lepiej informowani je zbijają i wielce go z talentu i zdatności wychwalają. Mówią, że teraz na trudne sprawy nie ma już nikogo po nim.

— I więcej nic? — spytał starosta.

Rotmistrz się zadławił i wykrztusił:

— A nie.

— No, chwała Bogu! odetchnąłem — rzekł starosta — to wszystko głupstwo! Idźcie spocząć rotmistrzu.

Pan Atanazy wyszedł jednemi drzwiami, a panna Katarzyna drugiem. Rotmistrz rad był, że wypowiedział co postanowił, bo mu ciężło na sercu wytłumaczenie i sumienie gryzło.

W kilka dni potem, listem zawiadomiony pan poseł, któremu na sejm do Warszawy jeszcze nie rychło jechać było potrzeba, przekonał się, że rotmistrz nie nie wyspiewał i projekt dawny trwał niezmieniony. Wyrzeczono termin oświadczeniu solennemu, zaręczynom i weselu. To odbyć się miało tem prędzej, że Maleparta nie nie wymagał; oświadczył że się obejdzie bez wyprawy, byle przyspieszono termin, gdyż jemu na sejm jechać potrzeba było. Staroście także do Warszawy mocno się już chciało. Jednakże mimo to starosta jedy-naczki córki wydać nie mógł za męża, nie wyprawiwszy szumnego wesela; rozpiśał listy do krewnych, znajomych, przyjaciół i dalekich powinowatych, zapraszając na ten obrzęd. Sposobił się doń jak mógł najwspanialej, a tem łatwiej to przychodziło, że za pieniądze mecenasa.

Oświadczenie solenne i zaręczyny odbyły się w asystencji bardzo licznie zgromadzonej szlachty, przy wiatkach, wystrzałach, kielichach wychylanych noc całą, po których odchorowali prawie wszyscy, a niemniej jednak nazajutrz uwielbiali gościnność gospodarza i unosili się nad wybornem przyjęciem jęgo. Zuzanna była

promieniejąca szczęściem. Maleparta blady i jakby niepokojny.

Starosta wesół jak za dobrych czasów swoich, kiedy jeszcze własnymi pieniędzmi przyjmował w Porajowie. Panna Katarzyna nie pokazała się wcale.

Przed zaręczynami przyszła do niej Zuzia po błogosławieństwo; a w tej chwili uroczystej, gdy znikły uczucia wzajemnych uraz, niechęci, gdy się obie rozplakały, i szczerze może, panna Katarzyna błogosławiąc powiedziała:

— Moje dziecko, widać Bóg tak chciał, abyś za niego poszła; wiedzże o tem, iż to jest niegodziwy człowiek, że ojciec cie sprzedał, że idziesz na nięwole. Ja cie błogosławie, ale placę nad tobą i przyszłością, daj Boże, aby się słowa nie sprawdziły!

Zuzia na chwile zbladła, pomieszała się, ale wkrótce wspomnienie bogactw, zbytku, przyszłego pobytu w Warszawie, zatarło uczynione słowy ciotki wrażenie.

Maleparta swojej przyszłej ofiarował kosztowny łańcuch złoty, manele brylantowe, kilka sznurów pereł uryańskich, kilka pierścieni i zapinkę brylantową. Ta ostatnia była przerobioną tylko ze szpinki pana Stanisława Górskiego. Zuzia przyjęła ten zadatek z największą radością. Poślany przez narzeczonego ciotce naszyjnik nie przyjęty i zwrócony został. Staroście dostały się dwa konie tureckie, a rotmistrzowi obiecane sto czerwonych złotych i kary ogier, drugie tyle wartujące. Odebrawszy to, pan Atanazy, nie czekając na wesele, pod pretekstem niespokojności o familją swoją na Rnsi zamieszkałą, której lat kilkadziesiąt nie odwiedził, pożegnał starostę, i spieniężywszy co miał, na starym bulanku jak wyjechał z bramy Porajowskiego zamku, tak jakby wpadł w wodę. i więcej o nim nie słyszano długo.

Tymczasem zbliżał się termin wesela, i krewni, zaproszeni znajomi, powoli ściągali się zaczęli.

Było tam wszystkich, począwszy od poszóstnych karet aż do skromnych bryczek, co tylko się znalazło Porajczyków w Sieradzkim zjechało się, co było kre-

wnych gdzie bliżej, ciągnęli na to wesele kto jak mógł. Starosta wszystkich prosił, bo się chciał popysznić swoim licznym rodem, którego wieksza część w dostatkach była i dobrem mieniu, urządach i wziętości. Maleparta ze swej strony nikogo nie prosił, nie miał nikogo, oprócz dworzan swoich, ubogiej szlachty, dla jurgieltu i barwy służącej. Upokarzało go to wielce, ale rady nie było. W świecie całym nie miał, ktoby mu sprzyjał, coby się doń przyznał, a dawnych swych znajomych lękał się więcej niż żądał. Codziennie z baszty wyznaczonej mu na mieszkanie w Porajowie i wspaniale wewnątrz przybranej, wyglądał niespokojnie, czyli między przyjeżdżającymi nie zobaczy znajomej twarzy.

Bał się tego i drżał na samą myśl; ale szczęściem w Lubelskiem nie miał starosta ani familji, ani znajomych, a ci co ztamtąd przybyli całkiem byli nieznanymi Maleparcie, a jeżeli który coś i wiedział o nim, to mając za kalumnię nie śmiał powtarzać, zwłaszcza w wigilję prawie wesela.

Starosta przygotowywawszy się na przyjęcie gości, wykupiwszy srebra swoje, na nowo ubrawszy ludzi, odnowiłszy zamek, wyporządziwszy zdawna opuszczone komnaty dla gości, nie zapomniał także przygotować się na przyjęcie Maleparty. Biegły w prawie krewniaczek sporządził misternie ułożoną intercyzę, donacje, wspólne dożywocie, zapis wieczysty, ze wszelkimi w takich razach formalnościami.

---

## ROZDZIAŁ IX.

Nadszedł dzień weselny. Porajowski zamek, pełen ludzi, koni, wrzawy, wesołości, zdawał się odmłodzony. Co żyło kreciło się, skakało, korzystając z wesela, aby pochwycić trochę rzadkiej na świecie radości, jak ryba co pluskając nad wodę, korzysta z tego i pociąga powietrze! Panowie i słudzy zarówno zapomnieli na chwilę o tem co ich czekało w domu: o kłopotach, niedostatku, chwytając okazją weselenia się i puszczania sobie cngli.

W całym zamku, jedna tylko p. Katarzyna nie zmieniła humoru, ani stroju, i na zakłęcia, prośby, przeproszenia, jednostajnie odpowiadała:

— Nie chcę tego być świadkiem! Nie chcę, powiedzcie żem chora!

Starosta wiec z córką puścili wieść o słabości p. kasztelanki, o którą się wszyscy krewni dowiadawali. Odwiedzano ją w jej pokoju, a tyle miała pomiarowania, że mimo gniewu ze swoją niechęcią ku Maleparcie, nie wydała się przed nikim, nie odkryła powodów zmyślonej choroby. Tylko gdy winszowano, milczała upornie, albo na co innego naprowadzała rozmowę.

W sobotę odbyła się spowiedź w kaplicy zamkowej i wieczorem intercyzę podpisano, którą mecenas przebiegłszy okiem bez trudności przyjął. Krewniaczek co ją pisał, miał się za wielkiego człowieka, gdyż sądził, że wymógł na panu młodym więcej, niż ten chciał uczynić. Pan młody zaś poprostu na wszystko pozwalał, bo nic dotrzymać nie chciał i sposoby na to łatwo mu znaleźć było. Obydwa śmieli się w duszy z siebie, a krewniaczek, że to mu się pierwszy raz trafiło, i że słyszał o panu Paprockiem jako o wielkim prawniku,



dwakroć się śmiał mocniej i zacierał ręce zwycięsko.

W niedzielę wieczorem dopiero ślub miał się odbyć.

Cały wieczór sobotni i ranek niedzielny spłynęły na hucznej zabawie, na kielichowaniu, próbowaniu koni, strzelaniu, rozprawach, wśród niezachmurzonej niczem wesołości.

Gdy w niedzielę przyszło Zuzannie napaść znowu do nóg ojcu i ciotce, i pomyślała, że na zawsze opuści Porajów, pójdzie w świat z obcym człowiekiem, przyszły jej na myśl groźne słowa ciotki, serce zabiło ze strachu niewymownego i zachwiała się na chwilę, ale już było zapóźno! We łzach ubierała się w białą suknię ślubną, w zielony wianek dziewiczy, pod który podłożono dukat węgierski z N. Panną i kawałek cukru. Uważano, że cukier stoczył się z pod wianka panny młodej i pod nogami przechodzących rozdeptany został.

Była piękną w tym swoim stroju weselnym Zuzia, świeża, rumianna, biała i we łzach, jak ranek wiosenny w kroplach rosy.

Nie jeden młody krewniaczek westchnął, patrząc na nią i żalując ślicznej czarnobrewki, którą za starego wydawano. Nikt nie wiedział, że szła dobrowolnie i z ochotą, a patrząc na łzy, domyślano się tylko woli starosty.

Zmierzchało i w kaplicy zamkowej oświeconej, przystrojonej w kwiaty i kobierce, już się cisnęła służba, mieszczanie, szlachta okoliczna, dworacy. W dziedzińcu wrzawa była nieustanna, ustawiano moździerze do wiwatów, wytaczano beczki piwa i miodu dla czeladzi i dworni, wnoszono stoly, które zastawić dla nich miano. Muzyka przygrywała na wieżowym balkonie, zamek świecił cały, szumiał, weselił się, huczał.

Maleparta tymczasem ubierał się do ślubu i otoczony mężczyznami, wdział był już bogaty kontusz oiały, na złotolity żupan obwiązał się pasem tureckim, przyczepił karabelę do boku, wziął czapkę białą z czapłą kitą i spinką ogromną błyszczącą. Wychodzili z baszty



i przeszli wschody, gdy zdyszany sługa nadbiegł do mecenasa.

— Czego chcesz? — spytał pan młody.

— Słówko na stronie.

— Cóż to takiego? mów głośno.

— Nie mogę: słówko tylko.

Mecenas odszedł na bok.

— Mów a żywo, bo czekają!

— Jakiś odarty mężczyzna, przybył w tej chwili konno na zamek i powiada, że się z wami koniecznie widzieć musi przed ślubem.

— A do kata! Odpraw go! — zawołał niespokojny mecenas.

— Krzyczy i powiada, że wciśnie się na salę, albo do kaplicy. Już tam i ludzie się koło niego zbierają. Koniecznie chce się widzieć.

— Ale ja nie chcę i nie mogę! Wypędzić go.

— Nie można, bo wrzasku narobi, a jest ich kilku za bramą co z nim przyjechali, gotowi gwałtem gdzie wpaść.

— Co to za ludzie?

— Odarci, wyglądają jak zbóje.

— Czego chce?

— Nie powiada: widzieć się żąda.

Mecenas blady był jak ściana, pomyślał chwilę, odwrócił się do towarzyszących mu:

— Łaskawi panowie, idźcie bezemnie na salę, za chwilę będę wam służył, pilna sprawa wstrzymuje mnie na moment, wnet idę.

— Nie późnijcie się, bo czekają.

— Zaraz, zaraz idę.

I mecenas zagryzając siue usta, rwąc poły kon-  
tusza, szybko ze sługą poszedł na górę.

— Wprowadzić go — zawołał.

Przeczcucie biło mu w sercu, że coś niedobrego się gotuje, drżał i pot zimny występował mu na pomarszczone czoło.

Drzwi się otworzyły, powolnym krokiem z ukłoniem, odarty, brudny, zbłocony, stanął przed nim — przechrzta.

Maleparta na widok tego człowieka, aż się cofnął wstecz trzy kroki i on co nigdy przytomności nie tracił, o mało teraz nie upadł na wznak.

Przybyły podniósł śmiejąc się szydersko oczy przy-mrużone na niego i powtórę się ukłonił w milczeniu; obejrzał się i wskazał sługę.

— Wyjdź, czekaj — krzyknął mecenas — niech tu nikt nie wchodzi, mam z tym człowiekiem do pomówienia.

Zbliżył się.

— Gadaj! a prędko! gadaj! czego chcesz odemnie, pocoś tu przybył! Gadaj!

— Aj! aj! aj! a po co się tak spieszyć. Czyż to nie wiesz, po co przybyłem? Ot, po starej znajomości, przywitać, i wesela powinszować.

— Na Boga, gadaj! nie dręcz mnie, gadaj co chcesz, bo cię zabiję.

I zgrzytnął zębami.

Słychać było jak posłańcy starosty biegli po wscho-dach, wywołać chcąc pana młodego.

Przechrzta się rozśmiał głośno.

— Owa, jakiś mi straszny! Zabiję. Ślicznie starego znajomego powitał. No! no: ot tak krótko a węzłowato, dawaj pieniędzy.

— Za co?

— Nie wiesz jeszcze! Trzeba abym ci przypomniał gdzieśmy razem byli, gdy nieboszczyk deputat jechał na toki?

— Wiele chcesz?

— Jak najwięcej!

— Wiele chcesz?

— Wiele! Musisz mi dać, co zażądaj, bo cię mam teraz w ręku. Dawno na tę chwilę czekałem! Ale cię złapał ślicznie. Musisz dać co zechcę.

— Nie muszę! — zakrzyknął Maleparta. Bo cię każe ludziom moim wypchać za wrota i nie puszcząć więcej, albo jako włóczęgów zamknąć do turmy.

— No! no, próbuj! Jaż stoje i nie lękam się. Ty swoje, a ja swoje zrobię. — Ty każ wypychać, a ja powiem co mam do powiedzenia!

Mrówie przeszło po ciele pana młodego.

— Któż ci uwierzy? — zawołał.

— Mam z sobą świadków, wszystkich świadków co tam byli z nami — odezwał się spokojnie przechrzta, czekają za bramą skinienia. Mam z sobą Naścię, dawniej twoją teraz moją duszeczkę.

— Wy sami zginiecie, a ja się oplacę.

— Zobaczymy, nie wiem kto mnie w to wciągnął, namówił i oplacił.

Była chwila strasznego milczenia, Maleparta usłyszał znowu stapanie po wschodach, pukanie do drzwi i zadrzał, aby samemu starości nie przyszła myśl, dowiedzenia się, dla czego spóźnia się pan młody. Zuzanna już czekała ubrana, aby iść do ołtarza; a towarzysze Maleparty powiedzieli, że sługa go czemś pilnym wstrzymał. Posyłało jednego za drugim posłańców. Sługa u drzwi odpowiadał. — Nie można.

— Cóż chcesz bezecny zbójco! — zawołał trzesąc się z niecierpliwości i gniewu mecenas. — Co chcesz!

— Co dasz? — spytał śmiejąc się potwornie przechrzta.

— Co mnie zapewni, że drugi, że trzeci raz, nie przyjdiesz jak dziś, mnie obdzierać?

— Słuchajno, mój panie — rzekł zbójca: — ja jestem uczciwy człowiek, kiedy obiecuje, choćby zabić, to dotrzymam: ty po sobie miarknjesz. Moje słowo, jedno i niezmienne, nie zapłaciłeś mi a musiałem nastrój szyi i uciekać, potem tulać się bez chleba. Musisz mi moje oddać i z nawiązką, musisz dać co i dla Naści na szpilki.

— Wiele chcesz?

— Jeżeli się nie mylę, winienesz ze czterysta, a za poczekanie, za oszukanie, i Naści gościnnica dasz drugie tyle! Już z ciebie drugi raz nie skorzystamy.

— Ty mnie obdzierasz!

— Obdarłeś i ty nie jednego, to tylko chleb oddany.

Płać i odchodzę, bo ci widzę pilno na wesele. Szczęść Boże!!

Maleparta rzucił się do skrzyni, dobył worek złota i rzucił go pod nogi przechrzcie wołając: — Uciekaj!

Ten się pokłonił, jeszcze raz uśmiechnął ważąc i chowając worek, potem otworzywszy drzwi zniknął na wschodach. W tej chwili zapukano z drugiej strony i wszedł starosta. Zastał jeszcze mecenasa nad skrzynią, osłupiałego, pomieszanego, niemiejącego jej zamknąć, bez przytomności prawie.

— Co to jest? czegoś się spóźnił? Co ci się stało? Widzę zmianę na twarzy?

— Nic to, nic, nic — odparł pan młody zamykając i podnosząc się. — To był ubogi, to był nieszczęśliwy. Idę, idę!

— Ale czegoś tak pomieszany.

— To nic, to gniew, to niespokojność, że mnie tu wstrzymano na samem wyjściu.

Starosta zmierzył oczyma podziwienia pełnemi Malepartę i w milczeniu na dół zeszli. Nigdy go jeszcze takim teść przyszły nie widział i przeląkł się strasznego wyrazu jego twarzy, oczów błyskających gniewem, sinych ust, trzęsących brwi zmarszczonych.

Mecenas szedł, a oddychał ciężko. rzucił osowiałym wzrokiem we wszystkie kąty, zdawało mu się, że wszędzie widzi przechrztę z Naścią przed sobą i oczy ich błyszczące i uśmiech szyderski z jakim go powitał. Serce mu bilo gwałtownie, patrzył nieustannie po stronach, krecił się. Znać było, że w duszy jego coś niesłychanego wrzało.

— Na Boga, uspokój się -- mówił starosta po cichu: — jeśli cię trwoży ślub, odłóżmy go, powiemy żeś chory.

— Nie! nie! Idźmy do ołtarza, idźmy! I pociągnął starostę za sobą, usiłując ułożyć twarz i udać spokojność.

Weszli na salę pełną mężczyzn i kobiet którzy już tylko czekali pana młodego, zdało mu się gdy się ujrzał pod wzrokiem tylu ludzi, że każdy czytał na nim na-

pisany wyraz. — Zbójca. — Spuścił oczy, zadrżał.

Poprowadzono ich do błogosławieństwa, które naówczas udzielali nie tylko rodzice, krewni, goście, ale nawet starzy słudzy i każdy kogo spotkano na drodze. Maleparta bezprzytomny dał się poprowadzić, Zuzanna płakała, sam starosta nie czuł łzy na oczach — dawno nie widzianych gości.

Wstąpili do izdebki p. Katarzyny, która w milczeniu, dała błogosławieństwo swoje, nareszcie drogą suknem pasowym wyłożoną, przeszli do kaplicy. Już byli na progu, gdy Maleparta ujrawszy dwie osoby stojące u wejścia zadrżał i o mało nie krzyknął, ale udawszy że się pośliznął, poszedł dalej. W progu stał przechrzta uśmiechający się złośliwie i — Nastazja. Nastazja odarta, rozczochrana, pijana, z małym dzieckiem na ręku. Uśmiechała się ona Maleparcie i ręką posłała mu pocałunek. Nikt go szczęściem nie widział, prócz niego. A całus wszetecznicy upiekł go jak gorące żelazo.

Stanęli u ołtarza.

Stary, poważny proboszcz miejscowy, błogosławił nowożeńców parę. Maleparta pod wrażeniem świeżej rożnowy z przechrztą i przerażony widokiem Nastazji, której wzrok spotkał na drodze do ołtarza, machinalnie odpowiadał na pytania, plątał się w nich, i pokilkakroć jedno powtarzać musiał. Wszyscy to dziwne roztargnienie postrzegli. Nareszcie zdało się, że począł z niego wytrzeźwiać się i podniósł głowę; ale w tem oczy mu słupem stanęły, nieruchome, zdziczałe i tak pozostał do końca obrzędu, o którym oznajmić mu musiano. Zuzanna widziała wszystko ukradkiem, i serce jej było żywo, pod niepojętem dla niej wrażeniem.

Gdzie patrzyły oczy Maleparty zwrócone na ołtarz? zwrócone mimowolnie i w jedno miejsce white. Nad ołtarzem, dla oczów jego tylko ukazały się dziwne, drugim niewidzialne postacie.

Stała Różia blada, stała wynędzniała jej matka, stał z rozkrwawioną piersią pan Szczuka, z rozbity głową pan Górski, stały w wielkiej ciżbie smutne postacie,

których rysy sumieniu tylko występne były znajome.

Zjawiły się one nie wiedzieć zkąd i przez cały czas obrzęd, zdawały się grozić Maleparcie, który drżał, a wzroku od nich odwrócić nie mógł. Nareszcie powoli znikać zaczęły, ginać i usuwać się. Pozostała jedna Różia tylko, a cień jej przesunął się z za ołtarza, ku kobiercowi i między państwem młodym zniknął.

Pobrawszy się za ręce wracali z kaplicy do zamku, przy odgłosie muzyki, bicia z moździerzy, wrzawie i okrzykach! Maleparta osłupiały jeszcze i bezprzytomny, Zuzanna przełknięta. We drzwiach wstrząsł się pan młody — powitały go jeszcze raz dwa znajome wejścia, dwa głosy piekielne. Przeszli, minęli, a jeszcze one tętniały w uszach Maleparcie. Ale wkrótce weselość gości, szum, wrzawa, śmiechy otaczające go do koła, znowu wywiodły z odurzenia nowożeńca. Zdało się tylko jakby sen przykry, bolesny, przeszedł po nad nim, nie wierzył prawie temu co słyszał, co widział, i rozchodził się powoli. Posadzono ich do stołu razem, przy sobie, spojrzal na piękną Zuzannę, teraz zwyciężką, wesolą już i uśmiechającą mu się, począł zapominać rozmowy, widzenia i jak tylko pułhary krążyć zaczęły; chwycił się, zalać winem niepokój wewnętrznym, głosy sumienia i strachy serca.

Pijatyka trwała kilka godzin w późną noc i nadejściem dopiero, odprowadzono uroczystie państwo młodych do łóżnicy. Był to obyczaj dawniej w Polsce, przykry i nudny; ale naówczas znaczący i dowodzący dziś jeszcze, z jakiej strony surowej, poważnej brano u nas małżeństwo. W tej izbie, gdzie stało poświęcone łóżko małżeńskie, zastawiał pan młody tak zwaną cukrową wieszczerzę, składającą się z przysmaków i win. Trwa do dziś dnia, ale bez towarzyszących temu naówczas mów i obrzędów, co czyniły pokładziny uroczystością dziwną, nikomu jednak wtenczas nie śmieszną. Prawiono mowę, oddając pannę, dziękowano za nią w drugiej mowie pospolicie długiej i wysmażonej. Oddający opowiadał historję domu i jego świetność, w długim panegiryku, wystawiając nowożeńcowi co za skarb brał.



Od nowożeńca dziękujący, nie dając się upośledzić ani w retoryce, ani w pochwałach domu, drugie tyle nagadać musiał. Następowały pokładziny, to jest że ubranych jak byli państwa młodych, kładziono obok siebie na łożu. A że pospolicie panna się wzbraniała, ojciec i bracia na reku ją nieśli.

Nikomu to wszystko naówczas ani dziwnem, ani śmiesznem nie było. Był to obrzęd religijno-narodowy.

Cały ten obrzęd ze wszystkimi zwyczajnemi mu dodatkami, toastów, żarcików, wiwatów, odbył się w sypialnej państwa młodych komnacie, gdzie dopili ci, co się jeszcze na nogach utrzymać mogli, tak że większą część kochanych i dostojnych gości, pod ręce wyprowadzać musiano, bo nogami nie władali.

Nareszcie zostali sami.

Maleparta padł na krzesło nieruchomy i został na niem długo w milczeniu głębokiem, tymczasem żonę jego w bocznej komnacie rozbierano i płacząca Zuzanna, musiała pierwsza w oczach Maleparty, zająć miejsce swoje. Na stoliku paliły się dwie świece, rzucające blask na wylekłą i bladą chroniącą się pod karmazynowy baldachim Zuzane. On na nią długo nie spojrzał, tak był zamyślony.

— Musiała mu nieboszczka przyjść na pamięć — powiedziała sobie młoda mężatka.

Aż nareszcie mrucząc coś pod nosem, począł zdzierać z siebie suknie i zrzucać je na podłogę.

— Pijany! — szepnęła sobie Zuzia.

W istocie był jak pijany, rwał bogate ubranie, szarpał je, ciskał niem, śmiał się, mówił do siebie, łajał, odstępował, podchodził znowu. To trwało czas dość długi, nareszcie zobaczywszy wodę na stole, Maleparta pochwycił ją i pić zaczął, wypił wiele jej było, zlał nią głowę i piersi, westchnął ciężko, potem zataczył wzrokiem wyjaśnionym do koła, jakby przypomniał co się z nim działo i zdał się przychodzić do siebie.

Po chwili, nie już w komnacie nowożeńców słyszeć nie było i światła zagasty.



Nazajutrz i dni następnych, trwały jeszcze zabawy na Porajowskim zamku: przeciągało się wesele do tygodnia. Bliżsi sąsiedzi wyjeżdżali i przyjeżdżali nazad; dalsi siedzieli ciągle. Codzień wymyślał starosta nową jakąś zabawę, inny sposób spędzenia czasu. Niektórzy, (bo już naówczas gra u nas przeszła w namietność i pokazywali się dawniej całkiem nieznani gracze z profesji) — niektórzy trawili w osobnej komnacie czas cały nad grą. Inni nie zarażeni jeszcze tym zabijającym czas i odzierającym człowieka z szlachetności nałogiem, woleli po staropolsku wyścigać się konno, strzelać, polować, pić i gawędzić, lub przysiądać się do panien. Panny ówczesne już po trochu uczyły się z francuzkich książek, kochania zagranicznego, które rzadko było i jest czem innem, nad komedją, w którą sami aktorowie uwierzą na końcu.

Maleparta nazajutrz zdawał się zupełnie wytrzeźwionym, przytomnym i szczęśliwym, uśmiech mu wrócił na usta, choć przymuszony i przeradzając się nie raz w grymas. Był uprzejmy dla gości i nadskakujący żonie. Ona błada, wylekła, ale surową twarz przybrała; zdało się w kilka godzin, zestarzała kilką laty, tak zgasły z jej oczu i ust, uśmiech, wesołość dziewczęca i swobodna wiara w szczęście. Wczorajsze postępowanie Maleparty poczynawszy od chwili wezwania go przez służbę, aż do cukrowej wieczerzy, nie uszło niczyjej baczności. Szeptano, domyślano się i nic się domyślić nie umiano. Sam starosta był niespokojny, ale udawał wesołego i wielce uszczęśliwionego. Donieśli mu ludzie o jakichś nieznajomych do zamku przybyszach, i kobiecie, co w chwili ślubu prawie, cisnęli się do Maleparty. Sługa pilnujący drzwi wygadał, że słyszał tajemnie i brzęk pieniędzy: potem widziano jeszcze nieznajomego co rozmawiał z Malepartą, we drzwiach kaplicy z jakąś kobietą; a wreszcie wynieśli się zapewne z zamku, bo ich więcej niepostrzeżono.

Wnioskując z tego starosta, wywnioskował tylko, że zięć jego musi być istotnie bardzo małego pochodzenia, że nawet nie szlachcic i tylko podkradający się pod

klejnot starożytny pp. Paprockich; że ci ludzie i kobieta widziani na zamku, muszą to być ubodzy krewni, którzy chcieli skorzystać z niego, a których opłacwszy, aby milczeli, odprawił. Niczego większego nie domyślał się starosta, a dla niego to już było ogromnem i nie darowanem. Ale cóż było począć? Stało się co się stać miało i należało tylko utaić, co by się znalazło czarnego i płamiącego w tej całej sprawie.

Starosta myślał o tem długo, potem postanowił szczerze i otwarcie z zięciem się rozmówić. Przynajmniej, rzekł w duchu, będę wiedział, jak na to radzić.

Ale pomimo, że odwiedziny przechrzty u Maleparty, nie wielu osobom początkowo wiadome być mogły, wieść o nich, dziwnie tłumaczona, rozeszła się cichaczem po zamku, od sług do panów, od panów do pań idąc, z szybkością ciekawej plotki. Nowożeniec, okryty tajemnicą jakąś niedocieczoną, zwracał uwagę wszystkich; opowiadano sobie na ucho różne polapane o przeszłym jego życiu wieści. P. Katarzyna dowiedziawszy się o wczorajszej scenie, od sługi co drzwi pilnował, klasnęła w dłonie.

— Nie powiedzą teraz żem zmyśliła! — zawołała. Starosta unikał spotkania z siostrą, bo się lękał teraz i nie chciał po niewczasie wymówek; a nim przystąpił do rozmowy z zięciem (bo był pewien, że się w swem przypuszczeniu nie mylił), postanowił odszukać tych ludzi, co wczoraj pokazali się na zamku i wybadać z nich czego od Maleparty chcieli. Posłał więc najzafafiszego sługę, do miasteczka naprzód, potem po drogach i wsiach okolicznych, wyszukać tych ludzi i wypytać. Ale napróżno, gdyż wysłaniec dui kilka strawiwszy, powrócił z niczem. Nikt ich nie widział nigdzie, wpadli jak w wodę.

Potrzeba więc było innego użyć sposobu na dochodzenie prawdy i starosta postanowił rozmówić się z zięciem. Niespokoiła go niepewność, chciał przynajmniej wiedzieć o co szło, i jak radzić na to, po głowie mu chodziło tylko, że pan Paprocki, podejrzanego był szlachectwa.

Nazajutrz więc wzięwszy go pod rękę, zawiódł do baszty i widząc się z nim sam na sam, przystąpił do rzeczy od razu.

— Nie mamy już teraz dla siebie tajemnic — rzekł — bądźcie ze mną otwarcie.

Maleparta spojrział mu w oczy osłupiałym i dziwnie pomieszany wzrokiem.

— Wczorajszego dnia — mówił dalej starosta — widziano na zamku jakichś ludzi, co się do was cisnęli, jeden z nich przed samym ślubem, miał rozmowę z wami; daliście mu pieniądze. Wasze potem pomieszkowanie, niespokojność, zwróciły oczy, dały do myślenia i do mówienia. Ja sam jestem, nie kryję się przed wami, niespokojny. Wytlómaczcie mi się, czego ci ludzie chcieli? Co to byli za ludzie?

Maleparta zerwał się z miejsca, przeszedł po izbie, a milczał.

— Powiem wam na jaką myśl wpadłem — mówił po chwili starosta: to muszą być wasi krewni. Waćpan nie jesteś szlachcic, i zagrożony wydaniem tej tajemnicy, opłacić się dla pozbycia ich musiacie. Nieprawdaż?

— Nie, nieprawda! — zawołał Maleparta stanowczo!

— Przysiężecie mi na to?

— Przysięgnę! — odpowiedział Maleparta. — Nie oszukiwałem was mojem szlachectwem. Mam je, i do wody na nie.

— Więc cóż to są za ludzie, i jakie wasze z nimi stosunki? Wszyscy uważali, że to ostatnia jakaś hałstra: cóż was z nią wiąże?

Maleparta zdawał się chcieć mówić i ust nie miał sily otworzyć, wodził obłąkanemi oczyma po izbie, bladł, czerwieniał, mieszał się.

— Wytlómaczcie mi się, na Boga! — zawołał starosta: dałem wam dowód ufności, gdy w wasze ręce los mego jedynego dziecka złożył, dajcież mi nawzajem dowód, że mi ufacie.

— Słuchaj panie teściu — gorzko uśmiechając się rzekł po cichu mecenas: nie pytaj mnie o nic, nie

pytaj! Nie chciej wiedzieć o niczem!

— Dla czego? — zapytał starosta błędniejąc i miewszając się — dla czego?

— Radzę ci starosto, zostaw mnie z mojem sumieniem i przeszłością samego. Nie wchodź w nie, bo żałować tego będziesz!

Starosta coraz bardziej i widoczniej przełknięiony, zamilkł, Maleparta chodził po izbie wielkimi krokami, szybko, nareszcie odezwał się jeszcze:

— Póki możesz nic nie wiedzieć, nie chciej się dowiadywać. Bądź spokojny, nic ci nie grozi, nawet przezemnie żadna plama na was nie spadnie: bądź spokojny.

— A więc są plamy!! — zawołał starosta załamując ręce — tyś mnie oszukał, tyś nie szlachcic!

— Mówiłem wam i powtarzam, że tu wcale nie o to chodzi. Na szlachectwo są dowody.

— Więc coś być może więcej, co cię plami?

— Starosto! nie pytaj mnie dla siebie samego!

— Byłeś juristą, to wiem, mogą cię potwarzać, mogą....

— Mogą i będą — dodał Maleparta. — Ale kogoż nie potwarzają? Starosto uspokój się, zaufaj mi. Nic ci nie grozi, pozyskałeś coś chciał, masz pieniądze. masz zapewniony dla córki majątek, nie chciej więcej, nie dowiaduj się. Moje niech zostanie przy mnie. W Warszawie żywa dusza mnie nie zna.

— Więc to tylko o te nieszczęsną jurysterję chodzi? — pytał starosta nalegając.

— Tak, tak, o nią — trochę szydersko rzekł potakując Maleparta.

— Ale to nic!

— To nic!

— Dla czegoście mnie nastraszyli tak?

— Bo nie chcę abyś mnie badał starosto.

Popatrzeni na siebie przez chwilę i wyszli oba na salę, gdzie już goście się gromadzili na obiad. Wszytkich oczy zwrócone były na nowożeńca, który wiedząc o tem, przygotowany, wytrzymał badające wej-

rzenia i nie pomieszał się. Starosta mimo usiłowania odegrania wesołości, zdawał się skłopotany i przymuszony. Zapomniał nawet o częstowaniu i pojeniu gości, co niektórych martwiło.

Po kilku-dniowem ucztowaniu na Porajowskim zamku, przyszedł termin przenosin i mecenas z żoną udał się naprzód przysposabiając przyjęcie dostojnej familji. Grabowy dwór na tę uroczystość, jeszcze wspanialej został przybrany i urządzony. Dobudowano nawet na przedce, długą na sto łokci galerję z tarcic, wewnątrz obitą i ubraną wytwornie, którą na dwie sale zabawy podzielono. Że na ówczas łatwo było gości pomieścić, bo kobiety osobno, mężczyźni osobno, pokotem na ziemi sypiali; mimo więc szczupłego zabudowania, dostojniejszych w domu i na folwarku rozmieściwszy, resztę ulokowano w tychże dwóch salach. Zuzanna nie posiadała się z radości na widok swojego dworu, swoich pokoiów, kosztowności, sreber, przyborów. Śmiała się, trzpiotała i czasem tylko surowe jej oblicze, z jakim wystąpiła nazajutrz po ślubie, na chwilę wracało.

Lecz to uachwilke tylko; wkrótce znouu biegła się czemś cieszyć, coś oglądać, czemś bawić. Mąż dla niej był nie tylko nadskakującym, jak to zwykle w pierwszych dniach po ślubie, ale pokornie posłuszny. Rozkazywała mu jak słudze, a on ślepo spełniał jej rozkazy. Chmurne jego czoło, rozjaśniało się na widok uśmiechu Zuzi, biegł sam gdy jej czego było potrzeba, a kilku ludzi, z największym gniewem wypędził, za opieszalność w spełnianiu rozkazów pani. Zuzia ani się zdawała cieszyć z tego, ani mu okazywała wdzięczności; niekiedy nawet surowo, zimno przemawiała do męża, i choć nikt nie słyszał wymówek, można się ich było domyślać.

— Za co? tego nikt nie wiedział.

A on przyjmował od niej wszystko z łagodnością, pokorą, z wdzięcznością prawie. Cóż mu się stało?

Ci co go nie znali, utrzymywali, że gwałtowna miłość dla żony, ten skutek na charakterze zrobiła, i śmieli się ze starego spętanego uczuciem, so się z si-

wemi jego włosy nie godziło. Nie szydzono wcale z ożenienia, ale nie pojmowano miłości.

Starosta postrzegający bacznie każdy krok zięcia i córki, cieszył się w duszy z poczynającej przewagi Zuzanny nad mężem, przewagi, której się nie spodziewał, a którą był dumny.

— Ona go poprowadzi, jak i gdzie zechce — mówił w duszy — ja przez nią będę nim kierował!!

I tak ciesząc się przyszłością, a zapominając swych domysłów zastraszających, starosta uspokoił się zupełnie. Pod wpływem jego wesołości i rządem młodej pani, przenosiny odbyły się świetnie, szumno, a goście rozjechali udarowani, upojeni, nakarmieni i przysięgając wieczną przyjaźń państwu młodym.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

















Biblioteka Raczyńskich

**JK 1437**



JK1437